Nr. 36. Poznań, Niedziela 2go Grudnia 1894 r. Rok. I

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TRESC.

NOWY POSEŁ.

Na opróżnione po ś. p. *Stanisławie Różańskim* krzesło poselskie powołać mamy nowego obrońcę praw narodowych. Piętnastomarkowe dyety, płacone członkom sejmu pruskiego, usuwają obawę, że lista kandydatów świecić będzie pustkami, jak nieraz przy wyborach do parlamentu niemieckiego, gdzie polska bieda szuka czasem napróżno wybrańców, kojarzących kwalifikacye umysłowe z pełnym portfelem. W obecnej kampanii politycznej społeczeństwo nasze nie jest zmuszonem wybór swój ograniczać do ludzi miennych i niezależnych od gleby prowincyonalnej, lecz może swobodniej w szerokich masach publiczności szukać posłów swoich, — szukać jednostek godnych najwyższego zaufania, jakiem naród chwilowo rozporządza. Zdawaćby się mogło, że w takich warunkach koło sejmowe zawiera poważny zasób inteligencyi politycznej i jest niejako zbiorowiskiem najwybitniejszych umysłów dyplomatycznych pruskiego zaboru, a jednak głębsza analiza przekonuje nas, że obok kilku osobistości, zasługujących pod każdym względem na głębokie uznanie, znajduje się tak we frakcyi parlamentarnej jak i sejmowej spory procent ludzi nieudolnych, — ludzi dobrej woli, lecz ciasnego widnokręgu — ludzi, którzy ni z tąd ni z owąd pojawili się na politycznej arenie i w żadnej dziedzinie rozgałęzionej działalności poselskiej nie zaznaczyli silniejszym akcentem istnienia swojego. Szeregu statystów i figurantów sejmowych nie powinny wybory w okręgu żnińsko-mogilnicko-wągrowieckim pod żadnym warunkiem powiększać, a przestrogę tę podkreślamy w obecnej chwili z tego powodu, ponieważ znamy dokładnie te dziwne, a w obec sprawy narodowej wręcz niemoralne motywy, które w naszych kampaniach wyborczych często rozstrzygającą odgrywają rolę. Ileż to razy byliśmy świadkiem energicznej agitacyi za ludźmi, o których szersza publiczność nie wiedziała nawet, że istnieją, choć kraj nasz ciasny i ludu polskiego niewiele. Kto to? pytano. Co zdziałał? Na jakich niwach pracował? Gdzie czyny rekomendujące posła naszego? A odpowiedzi nie było. Mówiono tylko, że hrabia X., książę Y., lub proboszcz Z. proteguje przyszłego posła i głosi dziwy niesłychane o jego rozumie, charakterze, wymowie i t. d. Ludzie myślący kręcili głowcmi, ale komitety, ujarzmione wysoką rekomendacyą, nieraz uchylały kark swój pokornie, a większość wyborców, przyzwyczajona do ślepego posłuszeństwa wobec władz komitetowych, nie wahała się „*Placet*“ swojego udzielić. Tak zjawili się w kole sejmowem ludzie, którzy urząd swój stwierdzali jedynie kartą wizytową: „*Membre* (!) *de chambre des deputés*“. I niechaj nikt nie sądzi, że panowanie takich zer politycznych jest czemś przejściowem, — o! bynajmniej. Kto raz zasiadł na poselskich ławach, ten w imię tradycyi liczyć może nieomal zawsze na poparcie komitetów, a jeżeli jakiś dziwny zbieg okoliczności mandat wytrąci mu z ręki, to po kilku latach powtórnie nazwisko jego pojawi się w szeregu wybranych. Powiedział niegdyś kolega *Sulla*, że społeczeństwo nasze choruje na „grzecznych chłopców“, — a praktyki wyborcze stwierdziły słuszność tej obserwacyi już niejednokrotnie. Uprzejmość dla „autorytetów“, „przyzwoite“ milczenie wobec niedołężnych posłów, rezygnacya z protestu w imię kurtuazyi, — oto kilka symptomów wielkiej epidemi słodyczy, która jak *diabetis* niszczy nasz organizm społeczny. Trudno! Polityka nie jest karnawałowym flirtem i w imię dobra publicznego trzeba tu nieraz zapomnieć o związkach towarzyskich, przyjacielskich usługach i paragrafach salonowego konwenansu.

Jeżeli głuche wieści, krążące po Księstwie, nie mylą, to tak w komitetach jak w prywatnych kuźniach politycznych pojawiły się w chwili obecnej tendencye, stwierdzające obawy nasze, — nowe dokumenty politycznego nepotyzmu i bankructwa zdrowego zmysłu dla publicznej sprawy. W przededniu zebrań wyborczych poczuwamy się zatem do obowiązkn rzucić między inteligencyą powiatu żnińsko-mogilnicko-wągrowieckiego słowo przestrogi, aby wpływem swoim starała się przeciwdziałać fałszywym apetytom i zgubnym zakusom krótkowidzących jednostek, grup i koteryi. My pragniemy wprowadzić do koła sejmowego przedewszystkiem takiego obywatela, który w życiu publicznem stwierdził istnienie swoje narodowym czynem, który w naszym rozwoju i walce z germańskim żywiołem złożył dowody politycznej inteligencyi, niestrudzonej pracy i charakteru. Według naszej opinii *mandatu poselskiego* nie wolno uważać za pierwszy stopień narodowego działania, za prymicye życia politycznego, lecz za *koronę* obfitej pracy na gruncie miejscowym — pracy świadczącej dodatnio o umyśle i sercu kandydata. Krzesło poselskie, to najwyższa nagroda, którą naród rozporządza, — więc jej nie wolno rzucać lekkomyślnie ludziom nieznanym lub niezasłużonym.

Ale stanowisko nasze polityczne dyktuje jeszcze szereg innych postulatów, które w ostatniej chwili stronnikom naszym przypomnieć pragniemy. Niejednokrotnie już protestowaliśmy w długim szeregu artykułów przeciw tej ślizgiej polityce nowych horyzontów, która, zapatrzona w tronowe blaski, całe istnienie narodu opiera wyłącznie na berlińskich koncesyach, tracąc zupełnie z oczu *całość politycznego rozwoju i jego fundamentalnych czynników*. My w tej metodzie „dorobkowej“ upatrujemy niebezpieczną jednostronność, a nie hołdując bynajmniej jaskrawej „polityce nerwów“ uchylić czoła nie możemy przed *monomanią* chwilowej dyplomacyi, która kosztem narodowego serca i żołądka rcperuje z chorobliwą namiętnością błyszczącą dekoracyę względów cesarskich. To też tylko takich posłów do polskiej frakcyi sejmowej wprowadzić pragniemy, których nie odurzyły lojalne formułki ugodowców naszych, — których przekonania polityczne stanowią niewątpliwą gwarancyę, że pod znakiem dworskości nie wstąpią na trybunę deputowanych. A nadto widzieć my chcemy w nowym wybrańcu narodu obywatela barwy postępowej, nie uprzedzonego do *ewolucyi demokratycznej w polskiem społeczeństwie*, nie hołdującego *reakcyjnym zakusom w żadnej dziedzinie*, szermierza *powszechnego głosowania* do sejmu pruskiego i *jawności obrad* obu naszych kół poselskich. Krótkowidzów politycznych, upatrujących w ruchu ludowym *jedynie* produkt sztucznej agitacyi ambitnych jednostek i jakąś dziwną anomalię przejściową, która błyska i ginie bez śladu, my zaufaniem naszem obdarzyć nie możemy, bo uczy nas doświadczenie, że posłowie tacy wyzyskują stanowisko swoje dla stłumienia naturalnej ewolucyi społecznej, która dziś jeszcze razi brutalnością form swoich i często błąka po manowcach, której jądro atoli jest zdrowe i zdrowe w ostateczności wydać musi owoce. Nie pragniemy również widzieć na ławach poselskich obywateli hołdujących, czy to z głębi przekonania, czy ze względów wątpliwego oportunizmu dążeniom *reakcyjnym*, pokutującym u stóp tronu cesarskiego, a zapowiadającym narodziny monstrualnych wniosków, które na niedalekim horyzonie politycznym snują się jak chmury. Jako wrogowie konstytucyjnej połowiczości dążymy wreszcie

do powszechnego głosowania przy wyborach do sejmu pruskiego, bo w ustawie takiej widzimy nietylko kardynalny postulat demokratycznej równości, lecz poważny interes narodu, któremu system trzyklasowy gorzko się daje we znaki. A wreszcie żądamy stanowczo, aby nowy poseł był zdecydowanym zwolennikiem jawności obrad w obu naszych kołach parlamentarnych. Niechaj ta jawność w interesie dyplomatycznym dozna ograniczeń pewnych, niechaj polska frakcya pruskiego sejmu i niemieckiego parlamentu zastrzega sobie na wzór wiedeńskiego Koła prawo milczenia tam, gdzie milczeć nakazuje dobro sprawy publicznej, ale nie odstąpimy nigdy od żądania, aby społeczeństwo poznało chociaż w ogólnikowej formie przebieg dyskusyi w łonie posłów swoich i stanowisko, jakie poszczególni wybrańcy jego wobec kwestyi politycznych zajęli. Dziś znamy tylko opinię większości Koła naszego w Berlinie, nie znając wcale opinii jednostek, — a wobec osłonięcia tajemnicą urzędową rezultatów głosowania łatwo zdarzyć się może, że przed trybunałem wyborców niewinny padnie ofiarą. W chwili obecnej, gdy tyle prądów politycznych ściera się w społeczeństwie naszem, jawność obrad stała się postulatem palącym. Pragniemy wiedzieć, jakim Bogom służy nasz poseł, aby, słysząc jedynie głos większości chwilowej, nie przypuścić mylnie, że służy fałszywym.

Oto szkic programowy, który prezentujemy przyszłemu posłowi, szukając równocześnie w tłumie kandydatów wymienionych w dziennikach i dyskusyach prywatnych nazwiska budzącego zaufanie, że program nasz jest jego programem, — nazwiska opromienionego blaskiem gorliwej pracy narodowej i zdolności parlamentarnych. Jedno z nich sympatycznie do nas przemawia i w ostatniej chwili prezentujemy je polskim wyborcom: Mecenas **Moczyński** z Bydgoszczy. Żaden z kandydatów dotychczasowych nie łączy w osobie swojej tyle zasług obywatelskich i kwalifikacyi umysłowych, ile ten energiczny działacz narodowy, który w zniemczonej Bydgoszczy podniósł wysoko sztandar ojczysty, — na straconym — jak są dzono — posterunku zdobył przy pomocy kilku patryotów mandat dla posła polskiego, organizował umiejętnie związki i towarzystwa polskie, nie szczędził pracy ani mienia dla budzenia ducha i oświaty, a stawiał się zawsze do apelu, ilekroć sprawa publiczna usług jego żądała. To nie „homo novus“, lecz wytrawny szermierz narodowy i parlamentaryusz. Nadto znany jest pan *Moczyński* jako odważny wyznawca zasad postępowo-demokratycznych, uznający doniosłość ostatniej fazy naszego rozwoju społecznego nie przykładający za żadną cenę ręki do dzieła, któremu błyszczy na czole piętno reakcyi. Jest to natura ostrożna, obejmująca rozumnem okiem całokształt życia narodowego, nie fanatyzująca się dla żadnej skrajności, nie sprzedająca przekonań swoich za cenę popularności lub wysokich względów i chociaż świadoma dokładnie, że polityka jest umiejętnością praktyczną, operującą utylitaryzmem, nie zapominająca ani na chwilę o kardynalnych podstawach bytu narodowego. Nie jest to romantyk w żadnym kierunku, lecz natura trzeźwa o gorącem sercu i przekonaniach żelaznych.

To też bez wahani polecamy dla Żnina, Mogilna i Wągrówca kandydaturę pana *Moczyńskiego*. Jest to jedyne nazwisko na długiej liście kandydatów, które budzi w nas zaufanie bezwzględne i najgłębszą nadzieję, że piastun jego sprawie ojczystej dobrze się przysłuży.

POLITYKA.

Listy z Petersburga.

VI.

Petersburg 24 listopada 1894 r.

(*Odwaga cara. Manipulacye Hurki. Z prasy petersburskiej.*)

Skończyły się pogrzebowe uroczystości; miasto zdjęło żałobną dekoracyę, część zagranicznych gości już się rozjechała i wszystkoby wróciło powoli do normalnego stanu, gdyby nie oczekiwany ślub młodego cara z księżniczką Alicyą heską, mający nastąpić w poniedziałek 26 b. m. Tymczasem młody car przyjmuje deputacye posłów i dygnitarzy i przygotowuje się zapewne do energicznego zajęcia rządów w swoje ręce. Powszechną uwagę zwracają na siebie dwie okoliczności. Gdy Aleksander III przez cały niemal pierwszy rok swojego panowania nie mógł przyzwyczaić się do swojej nowej roli, Mikołaj II od pierwszego dnia odrazu wszedł w rolę cara i występuje z wielką pewnością siebie i śmiałością. Drugą cechą, odróżniającą Mikołaja II od jego ojca jest swoboda i odwaga, z jaką się ukazuje w mieście. Nietylko bowiem jeździ po wszystkich ulicach bez uprzedniej mobilizacyi jawnej i tajnej policyi, od naczelnika miasta aż do stróżów domów, którzy dawniej na parę godzin przed przejazdem cara wychodzili w białych fartuchach przed bramy i pilnie śledzili wszystkich wchodzących i wychodzących, ale nawet chodzi piechotą, czego nie widziano w Petersburgu od lat blisko dwudziestu. Wieczorami wymyka się młody monarcha ze swojego pałacu na Newskim Prospekcie i używa przechadzki po oświetlonym elektrycznością chodniku, grzecznie odpowiadając na ukłony publiczności. Policya jest ogromnie zgorszona tem pospolitowaniem się monarchy i próbowała z początku rozpędzać publiczność, ale car kazał, aby nie zwracano żadnej uwagi na jego wycieczki. Naturalnie, takie zachowywanie się młodego cara zjednywa mu serca ludzi i podtrzymuje w inteligencyi nadzieję, że człowiek, co się nie chowa przed ludem za żelazne kraty, musi żywić w duszy zamiary, pozwalające mu już dzisiaj patrzeć śmiało w oczy swoim poddanym. Żadnych zmian w wyższym urzędowym świecie jeszcze nie ma; powszechnie sądzą, że do nowego roku wszyscy zostaną na swoich miejscach. Kandydatów jednak na każde wyższe stanowisko opinia publiczna pilnie szuka i po znalezieniu gorąco zaleca. Między innymi wskazują teraz na wielkiego księcia Konstantego Konstantynowicza, jako na przyszłego ministra oświaty. Jest to światły i postępowy człowiek, literat i poeta.

Bawi tu w danej chwili liczne grono osób przybyłych z Warszawy w charakterze deputacyi z Polski do cesarza. Po niefortunnej wizycie do jenerała Hurki postanowiono nareszcie spróbować obejść się i bez jego protekcyi i rekomendacyi i dostać się do cesarza przez pośrednictwo ministra dworu hrabiego Woroncowa-Daszkowa. Hurko, jak wiadomo, nietylko przyjął niegrzecznie warszawską deputacyę, ale później powiedział otwarcie, że nie zakomunikował cesarzowi tego, co mu prawili panowie deputowani, a to z tej racyi, że na czele deputacyi znajdowała się „niebłagonadiożna“ (politycznie podejrzana) osobistość — arcybiskup Popiel. Pięknego uznania doczekał się czcigodny arcypasterz za swoje zgodzenie się na to, aby rota przysięgi była odczytana w Warszawie w języku rosyjskim. Na prośbę deputowanych, żeby ich zabrał do Petersburga i przedstawił cesarzowi, warszawski satrapa odpowiedział bardzo racyonalnie, że każdy, kto ma paszport może jechać do stolicy i w ten sposób sam ostatecznie naprowadził naszych polityków na myśl, że od samego początku trzeba było starać się mówić z panem a nie z lokajem. Po przybyciu do Petersburga Hurko przedstawił

ROSENKRANTZ-JOHNSEN.

LIST.*)

(Tłum. **B. K.**)

Drogi Przyjacielu!

Z jaką ja niebywałą radością Twój list czytałem, i w jak uroczystym nastroju zabieram się do odpowiedzi!

Żalisz się, że na Twoje częste listy tak rzadko odpisywałem; ha! *mea culpa* W nagrodę za to dzisiaj Ci serce otworzę i ujrzysz mnie takim, jakim w tej chwili jestem i jakim być muszę. Będziesz oglądał Piotra Somerfelda chez soi. Wyznam Ci wszystko, bo Tobie mogę bezwzględnie zaufać; z tego co piszesz o mnie i o mojem stosunku do Małgorzaty Helland, przekonuję się, że ani mnie, ani tego, co o mnie wiesz, nie zdradzisz.

Jest druga godzina po północy; stolica pogrążona we śnie; ulice zalega cisza; nie słyszę nawet przechadzających się konstablerów.

Wracam z wieczorku od wuja Karola. *Ona* tam była, ta moja, której i ja nawzajem oddałem się na własność. Odprowadziłem ją do domu, i dotąd jeszcze czuję na ustach dreszcz jej pocałunku. Drogi przyjacielu! Widzę Twój uśmiech skeptyczny, i słyszę, jak mówisz: „No, więc znowu ma inną! Wielki Boże, co to za człowiek“!

Oczywiście, że tak myślisz, i oczywiście zasłużyłem na podobne mniemanie; ale poczekaj, bądź chwilę cierpliwym' a przyznasz mi, żeś się tym razem pomylił, albo raczej, że ja się zmieniłem.

Więc wróciłem w tej chwili z wspomnianego wieczoru, gdzieśmy jedli, pili, tańczyli. Nucąc jakąś melodyę otworzyłem drzwi sypialni, i zrzuciwszy palto, przeszedłem do saloniku, aby utonąć we wygodnym fotelu, wypić kieliszek *chambertinu* i rozmarzyć się wspomnieniami dzisiajszego wieczoru. Na biurku spostrzegłem Twój list; rozerwałem kopertę i przeczytałem go prawie jednym tchem. Dzięki Ci za Twoje przywiązanie! dobryś w gruncie chłopiec, mimo lekkomyślności, złośliwych dowcipów i ostrego języka. Czy zgadniesz, co zrobiłem po przeczytaniu listu? No? — Wstałem utrefiłem włosy i brodę, poprawiłem frak i krawat, podkręciłem wąsy, jak gdybym się wybierał na jakąś uroczystość, zapaliłem obie lampy i po trzy świece w lśniących, srebrnych kandelabrach, dorzuciłem drew do ognia na kominku i zasiadłem znowu przy biórku. I oto siedzę i piszę do Ciebie o drugiej po północy, we fraku, wygalowany pokrzepiając się raz po raz winem.

Przedewszystkiem odpowiem Ci na pytanie, tyczące się mego stosunku z panną Helland. Otóż „tak“! Pozwalam Ci wszystko ogłosić, ale pod warunkiem, że i nadal będziesz równie dyskretnym. Wiesz bowiem, że nienawidzę skandalu i nie chcę, żeby pamięci jej *z mojej* winy uwłaczała żądna nowinek publiczność. Pamięci jej! bo Małgorzata już od przeszło roku nie żyje. W kilka miesięcy po moim wyjeździe tu dotąd, wyszła za mąż za człowieka, który ją bardzo kochał, ale który jej był obojętnym. Chciała mieć gniazdo rodzinne i opiekuna, jak opowiadały jej przyjaciółki z „małego miasta“; jedna z nich twierdziła nawet, że wyszła za mąż ze złości na mnie, bo po moim wyjeździe była przedmiotem złośliwych uwag i jeszcze boleśniejszego politowania. Oczywiście, że takiego upokorzenia znieść nie mogła. Niedługo po jej zamążpójściu zjechałem do mojej zacnej, poczciwej mateczki, żeby wypocząć i pobujać swobodnie nad brzegami morza północnego. Wtedy odwiedziłem Małgorzatę — panią Foss — podczas nieobecności męża, zajętego właśnie w kantorze. Tego spotkania nie zapomnę! Kiedym wszedł do pokoju — wcale zresztą nie gościnnie wyglądającego, z powodu symetrycznie usta-

*) List powyższy, stanowiący zamkniętą całość, wyjmujemy z norwegskiej nowelli Rosenkrantz-Johnsena p. t. „Całusy“.

jakoby cesarzowi stan rzeczy w Polsce w tak ponurem świetle, że nie znający taktyki warszawskich „obrusitieli“ mogliby pomyśleć, że się znajdujemy w przededniu nowego powstania. Sens moralny tego raportu jest ten, że rząd nie może odstąpić ani na jotę od swojej dotychczasowej polityki w Polsce, nie ryzykując wywołania poważnych zaburzeń.

Prasa petersburska w tych czasach dość się interesowała nami i naszemi sprawami. Naiwny „Graždanin“ ubolewa n. p. nad obojętnością warszawskiej prasy wobec nieszczęścia, które spadło na całą Rosyą, więc i na przywiślański kraj“ (sic). Gdy cała Rosya miała oczy skierowane w stronę Liwadyi, powiada organ księcia Mieszczerskiego, pisma warszawskie nie odezwały się od siebie ani jednem słowem o najważniejszym wypadku chwili, a zadawalniały się przedrukowywaniem telegramów agencyi Reutera. Nie ma obecnie w Petersburgu, ani w całej Rosyi pisma, w którem byłoby można, naturalnie z największą ogiędnością, wytłomaczyć Rosyanom, dla czego polska prasa nie mogła i nie powinna pisać o chorobie i śmierci Aleksandra III inaczej, jak językiem agencyi Reutera i innych. Od czasu, jak były organ radykałów rosyjskich, „Ruskaja Žiźń“, zmienił kierunek i zaczął pracować nad przywróceniem sobie zaufania rządu, jak się wyraża właściciel i wydawca tego pisma, znikło jedyne miejsce, gdzie można było powiedzieć rosyjskiej publiczności coś prawdobnego o Polsce. Ale trzeba przyznać, że z wyjątkiem „Graždanina“, żadne pismo nie poruszyło tej drażliwej kwestyi, jak również kwestyi obojętnego zachowania się tutejszej polskiej kolonii wobec manifestacyi, urządzonej przez Francuzów w kościele św. Katarzyny. Sami Rosyanie zdaje się rozumieją, że byłoby to szczytem nieszczerości, o którą i bez tego nas oskarżają, gdybyśmy okazywali zbyt wielkie wzruszenie wobec choroby i śmierci monarchy, który ze wszystkich carów od czasu ostatniego rozbioru okazał największą niechęci dla polaków gdy sam żadnej z ich strony nie doznał przykrości. Z nim jednym Polacy nie wojowali, a jednak, chociaż przyjaciel pokoju, siał on z wytrwałością godną lepszej sprawy, niechęć i niezgodę między dwoma narodami, którym panował. Jak dalece zmarły cesarz był nieprzyjacielem Polaków świadczy następująca anegdota, pochodząca ze źródła rosyjskiego, a więc nie podejrzanego o stronność. Pewnego razu Aleksander III, w chwili złego humoru, czy też zwątpienia, zaczął ubolewać przed następcą tronu nad smutnym stanem Rosyi (było to w epoce głodu, epidemii, zatargów handlowych z Niemcami i t. d.) i rozczulać się nad mnóstwem nierozwiązanych kwestyi, które będzie musiał zostawić w spadku synowi. Gdy skończył, następca tronu dodał od siebie: „Zapomniałeś ojcze jeszcze o polskiej kwestyi.“ — „Zanim tobie przyjdzie czas panować, odparł car, to może już nie będzie Polaków“ — Może to i zmyślone, ale w każdym razie charakterystyczne. W ten sposób nie mawiał nawet Mikołaj I w chwilach największego rozdraźnienia. Żałujemy bardzo, że nie możemy za pomocą pism rosyjskich wytłomaczyć Rosyanom „zimnego“ zachowania się Polaków wobec zgonu człowieka, który myślał, że przeżyje cały naród, ale pocieszamy się tem przekonaniem, że lepsza część rosyjskiego społeczeństwa, nie wykluczając i cesarza Mikołaja IIgo, sama aż nadto dobrze te rzeczy pojmuje.

Do jakiego stopnia prasa rosyjska nie jest obeznaną z polskiemi sprawami świadczy artykuł o ćwierćwiekowem istnieniu cesarskiego uniwersytetu w Warszawie z rosyjskim językiem wykładowym, umieszczony niedawno w Nowym Wremieniu, najbogatszem i najlepiej poinformowanem piśmie petersburskiem. W tym artykule niejaki pan Rajski ogłasza całemu światu, że warszawski uniwersytet, założony przed 25 laty na miejscu szkoły głównej, przyczynił się znakomicie do zdemokratyzowania polskiego społeczeństwa i oduczył je traktowania ludzi jak „bydła“. Argumenty czerpie autor artykułu z polskiej literatury i powołuje się na — Orzeszkową, Prusa, Sienkiewicza a nawet na zmarłego na siedm lat przed otwarciem warszawskiego uniwersytetu Syrokomlę. Gdyby nie ton artykułu, tchnący niechęcią do Polaków, to można by było przypuścić, że pan Rajski zażartował sobie z szanowego pisma, mającego pretensyą do kierowania opinią publiczną w stolicy Rosyi.

Na zakończenie komunikuję wam fakt również charakteryzujący stosunek prasy rosyjskiej do tak zwanych „okrain“ (kresów). Wraz po śmierci Aleksandra III zaczęły kursować po mieście niewyraźne pogłoski o tem, że Finlandya nie chce przysięgać nowemu cesarzowi. Okazało się, że rzeczywiście senat finlandzki czekał z przysięgą na nadejście z Liwadyi osobnego manifestu, potwierdzającego finlandzką konstytucyą, czyli, jak się wyrażają pisma rosyjskie „praw fundamentalnych“. Takie manifesty były zawsze ogłaszane przez wszystkich carów, zaczynając od Aleksandra I. I na ten raz manifest również nadszedł z Liwadyi i został ogłoszony 31 paźdz. czyli 12 listopada nowego stylu. Powtórzyła go cała prasa zagraniczna, gdy tymczasem prasa rosyjska nie odezwała się ani jednem słowem o tak ważnym fakcie, kładącym na cały czas panowania Mikołaja II kres wszelkim podszczuwaniom prasy przeciwko finlandzkiej autonomii. Dopiero w ostatnim numerze „Nowego Wremeni“ na ostatniej stronnicy ukazała się korespondencya z Helsingforsu, wspominająca między szczegółami o żałobnem przystrojeniu miasta, także o manifeście, jako o rzeczy znanej i już przebrzmiałej. Jakkolwiek niemiło będzie „patryotycznym“ organom prasy pogodzić się z faktem, że finlandzka konstytucya została uroczyście poręczoną przez młodego cesarza, jednak można się spodziewać, że odtąd na bardzo długo znikną ze szpalt petersburskiej i moskiewskiej prasy wszelkie projekty bardziej ścisłego zjednoczenia Finlandyi z resztą cesarstwa, jak tu przez grzeczność nazywają bolesną i niebezpieczną operacyą, którą od trzech lat przebywa Polska. *X.*

Przegląd prasy słowiańskiej.

„*Radikalni Listy*“ piszą o potrzebie uczynienia kwestyi czeskiej kwestyą europejską.

„Jeżeli kwestya czeska jest naprawdę kwestyą europejską, to ją musi Europa jako taką rozumieć, naszym zaś obowiązkiem jest postawić ją na wysokości znaczenia i działać w szerszych granicach politycznych, aniżeli dotychczas. Musi nam zależeć nietylko na zrozumieniu naszych potrzeb u innych narodów, ale także ich sympatyi, a nie ma pracy trudniejszej, jak pozyskać sympatyę dla narodu prześladowanego i uciskanego. Z drugiej strony jest widocznem, że zainteresowanie się zagranicy wzmocniłoby nasze stanowisko w państwie i żądaniom naszym przyspożyłoby wagi.

Potrzebę uznają wszyscy, ale polityka nasza nie doszła jeszcze do tego stopnia rozwoju. Widocznie brak nam wiele do samodzielności. Wielu naszych posłów chętnie używa szumnego frazesu, że na kwestyą czeską patrzy cała Europa i nią się zajmuje, ale cóż, uczyniliśmy sami, aby tak w istocie rzeczy było, aby zagranica informowała się w sprawach czeskich dostatecznie? To, co się w parlamencie mówi, ma po większej części charakter dorywczości, i nie odznacza się jednolitym dominującym punktem widzenia.

My szczególnie radzi idziemy za wzorami zagranicy. W taktyce politycznej n. p. wskazuje się na Madziarów, a w kierunku informacyi zagranicy na Rumunów. Od nich wiele moglibyśmy się nauczyć. Mają w Bukareszcie wielką, znakomicie urządzoną kancelaryą informycyjną, rozesłali dobrze napisane, statystycznie uzasad

---

wionych mebli — oblała się po szyję szkarłatem, nie przyjęła na powitanie mojej ręki, mówiła nerwowo urywanym głosem jak chory w gorączce, a potem nagle trupio zbladła i zrobiła się zimna i twarda, jak słup od latarni. Zostałem jeszcze przez kilka chwil, mówiąc o mieście i innych znajomych; lecz kiedy spostrzegłem, że mego opowiadania nie słucha i spotkałem się z jej wejrzeniem ostrem, a zimnem jak lód, zerwałem się, ukłoniłem i uciekłem.

Drogi przyjacielu, wtedy nagle zrozumiałem coś, czego się przedtem nawet nie domyślałem; ja ją dotkliwie skrzywdziłem, a ona mną pogardzała. Nie mogę powiedzieć, abym w tej chwili nią także pogardzał; zapaliłem papierosa, wzdrygnąłem ramionami i poszedłem. Lecz ona była pono mędrsza i lepsza odemnie! Potem jej już nie widziałem, a teraz nie żyje. W trzy tygodnie po jej śmierci przysłał mi ktoś bezimiennie moją własną fotografią, którą jej ofiarowałem nazajutrz po owym wieczorze, kiedym ją pierwszy raz pocałował; usta były wycięte, te same usta, które ją tak namiętnie całowały, podczas kiedy serce gorzało płomienną żądzą, a myśl na zimno wszystko obliczała. Kto wyciął usta z fotografii i kto mi ją przysłał? kto jest tym bezimiennym egzekutorem testamentu? Gdybym wiedział, odszukałbym go i przekonał o mojej skrusze i żalu. Bo wierz mi, ja teraz żałuję szczerze tego i temu podobnych postępków. Ja się sam już nie poznaję. Kiedy, jak Leporello przeglądam spis moich ofiar, głęboki smutek mnie ogarnia na wspomnienie tych płaczów i lamentów, zwykłych w chwilach rozstania.

Nie poznaję siebie, ale wiem, zkąd płynie źródło tej zmiany, Odkąd *ona* mnie kocha, patrzę na przeszłość moję, *jej* oczami; ale Ty się śmiejesz, śmiejesz na całe gardło, słyszę Twoje nieznośne, szydercze chi-chi-chi, — ale to na nic Ci się nie zda. Nalewam sobie wina i piszę dalej. Powiedziałem Ci, że Ci serce me otworzę, więc bierz skalpel i tnij, ale słuchaj, bo muszę się wygadać.

— Po Małgorzacie miałem jeszcze niejedną znajomą; nie mówię o tych znajomościach przelotnych, o których się w następnej chwili zapomina, bo to takie mizerne, powszechne, zużyte i nędzne. Kiedy o tem myślę, zdaje mi się, że jestem w ciasnej, długiej i brudnej uliczce, którą nagle ktoś oświetlił wielką lampą elektryczną, a ja spostrzegłem, że brodzę w błocie. Och! na te wspomnienia dreszcz śmiertelny mnie przenika. Ale miałem i inne znajomości; miałem stosunki, mniej lub więcej serdeczne, które mnie pociągały, przykuwały, rozweselały lub smuciły i jednem słowem miałem stosunki, które się odbiły na mojem usposobieniu, albo raczej, na których moje usposobienie, moje wrodzone skłonności wycisnęły lekkie, nie mniej przeto wyraźne i charakterystyczne piętno.

I takich stosunków mi nie zabrakło. Jak bywają ludzie, którym we wszystkiem się szczęści, i którym wszystko, czego się dotkną, na złoto się zmienia, tak bywają i mężczyźni, którym każda kobieta, jeśli tylko zechcą, oddać się gotowa To jest faktem. I tacy mężczyźni nie zawsze bywają piękni i przystojni, często nawet są brzydący. A zazwyczaj zachowują się bardzo cichutko i dyskretnie, nie wymieniają nigdy żadnych nazwisk i nie chlubią się swojemi zdobyczami. A jednak zyskują rozgłos w salonach, ci bohaterzy! Jakaś drobnostka zawsze na jaw wyjdzie; reszty dokonują kobiety same, podziwiając ich w cichości i wyrabiając im opinję „niebezpiecznych“. Notorycznie „niebezpieczny“ ma szczęście. Jakie ja miałem szczęście, wiesz, — ale, jak daleko w mem szczęściu zaszedłem, ani się domyślasz. W ostatnich trzech czy czterech latach pełnym haustem piłem z pucharu tego szczęścia. Nie będę Ci wyliczał szczegółów, boby to i Ciebie nawet znudziło.

Zawikłałem się właśnie wtedy w dwa stosunki, kiedy zaszedł wypadek, który opisać Ci pragnę: w trzydziestym roku życia zakochałem się po raz pierwszy aż do szaleństwa, tak namiętnie i gwałtownie, że drżę z obawy, czy ta miłość trwać będzie. A jeśli nie potrwa, jeśli coś lub ktoś się zjawi i zabierze mi to, co mnie całego dzisiaj przenika, wtedy pierwszy raz w życiu się dowiem, co znaczy być nieszczęśliwym. Więc słuchaj, jak było! Któregoś dnia w południe stałem przed Grand-Hotelem i znużony

nione memorandum do akademii europejskich, oraz wielkich dzienników i towarzystw politycznych, wydali wreszcie cały szereg broszur o kwestyi rumuńskiej; procesem przewódzców rumuńskich w Siedmiogrodzie interesowała się cała Europa, a sąd Europy wypadł dla nich korzystnie. Procesem przewódzców rumuńskich interesowała się cała prasa europejska, Rumuni potrafili kwestyi tej nadać znaczenie europejskie.

„U nas natomiast mija jedna sposobność za drugą, z których możnaby w tej samej mierze skorzystać. Tylko mimochodem wspominamy zeszłoroczną uroczystość Komeńskiego, na którą świat cały zwrócił baczną uwagę; wówczas tak łatwo można było kwestyą czeską zainteresować ogół. Nic więcej nie było nam potrzeba, jak wydać memorandum: studenci czescy już je w połowie wykończyli, ale brakło funduszu na jego wydanie. Nadszedł stan wyjątkowy, proces Omladiny, a nasza prasza wolnomyślna zamiast wytłomaczyć Europie znaczenie procesu, rzecz zagmatwała i bagatelizowała.

Kilka koczowniczych odczytów p. Baucheta po Francyi, lub wycieczka kilkunastu Sokołów na uroczystość gimnastyków francuskich jest najprymitywniejszym sposobem takich informacyi zagranicy, których się domagamy. O ile wiemy, jest w kraju naszym dwóch płatnych korespondentów do francuskich i angielskich dzienników. Ale cóż? znaku życia nie dają.

„Jeżeli wydział wykonawczy stronnictwa wolnomyślnego stara się o organizacyą polityki czeskiej, byłaby potrzeba, ażeby urządził międzynarodowe biuro informacyjne. Mówiło się u nas o tem dużo i o ile nam wiadomo projekt w zasadzie przyjęto. Dziś cały szereg dzienników i przeglądów słowiańskich, romańskich i germańskich chętnie umieściłby szkice sytuacyjne o stosunkach czeskich. Zgłaszają się one już same. Niestety nie mamy dotąd organizacyi, któraby tej potrzebie czyniła zadość. A nie ma chwili dogodniejszej, jaką jest obecna, czeska kwestya nie da się usunąć, toruje sobie ciężarem własnym drogę, trzeba jej tylko drogę tę ułatwić.

„*Hlas Naroda*", organ główny stronnictwa staroczeskiego, pisze z powodu zwycięstwa omladyny nad Młodoczechami przy wyborach kolińskich jak niżej:

„Niedaremno mówi nasze przysłowie chłopskie „„s kopce (góry) vždy rychlej než do kopce"", prawdziwość przysłowia tego doświadczyli na sobie Młodoczesi. Zresztą nie było pomiędzy politykami rozumniejszymi nikogo, ktoby się nie był spodziewał prędkiego końca ich panowania! Po szybkiem zwycięztwie następnastępuje rychły upadek. Dla czego stronnictwo młodoczeskie upadło? Otóż nie spełniło ono nadzieji w niem pokładanych, — lud czeski zawiódł się na niem, dzisiaj już przywódzcy sami o sobie zwątpili. Trzeba przyznać, iż Młodoczesi ślepi nie są i własne nieszczęście oraz i upadek grożący przewidują dobrze. Bynajmniej też rąk nie zakładają, ale robią wszystko co mogą, aby się na wierzchu utrzymać w nowym ruchu, który się rozwinął.

Próbą wspólnego porozumienia był zjazd mężów zaufania dnia 23 września. Chciano tam różnice załagodzić i jeden program postawić. Ale przewodzcy sami przekonali się, że różnice zapatrywań, są zbyt wielkie, i próby zrobiono zapóźno.

Pierwszą klęską Młodoczechów były wybory w Kolinie. Lubo młodoczesi mieli tam kandydata oficyalnego, powiodło się agitatorom omladynistów pozyskać wyborców, młodoczeską kandydaturę obalić i przeprowadzić ojca uwięzionego omladynisty dr. Raszyna.

„„Nar. Listy"" nie chcą się do porażki przyznać, ale czynią to inne pisma młodoczeskie i domagają się wyjaśnienia sytuacyi.

* * *

O stosunkach panujących w mieście Zadarze (Dalmacya) rozpisuje się „*Il Pensiero Slavo*":

„Zadar jest miastem, w którem ukrywa się wróg nasz najniebezpieczniejszy, wróg naszych ideałów politycznych i naszej przyszłości. Zadar jest niby fortecą, która opór stawia patryotyzmowi chorwackiemu, obejmującemu płomieniem cały kraj od lat 30. Inne miasta wobec tego patryotyzmu nie ostały się, — renegaci ustąpić musieli. W Zadarze jest główna kwatera obozu przeciwnego, mamy tam na ziemi chorwackiej najzaciętszych wrogów naszej narodowości. Żywioł włoski w Zadarze dotąd nie słabnie, Chorwaci z krwi i kości uważają się tam dotąd za Włochów.

Dla tego z wielką radością powitaliśmy wieść, że poseł nasz dr. Bianchini ma zamiar osieść w Zadarze, objąć redakcyą dziennika „Narodni Listy" i rozpocząć na wielką skalę agitacyę polityczną.

K.

LITERATURA I SZTUKA.

Na koncercie Rubinsteina.

Wsłuchany i wpatrzony naprzeciw estrady
Stałem — gdy ręce Mistrza spadły na klawisze,
Sypiąc słuchaczom pełne czarodziejstw kaskady.

Nagle ucichło wszystko — Księżyc wyjrzał blady
I osrebrzył gałęzie, któremi kołysze
Wicher. Łkania stłumione przerywały ciszę.

I głuche jęki uszu moich dochodziły.
Chciałem pobiedz na pomoc — lecz zbrakło mi siły
Jęki te wszystkie struny duszy mej targały

I swem echem żałosnem w serce mi się wryły, —
Wybladły, pełen trwogi, nawpół skamieniały
Słuchałem! Grom niebieski uderzył o skały,

Rozdzierając ponure chmury i obłoki,
I deszczu rzęsistego lunęły potoki.
Przeszedł huragan! Jasne zabłysły znów zorze.

O cudzie! — Widzę ciche i spokojne morze,
Widzę łódź, srebrne fale wrzynają się w boki,
Śpiew tęskny płynie w nieba jasnego przestworze.

Wsparty na wiośle rybak, marzący i blady,
Śle go tam, gdzie iskrzą się gwiazd złotych mirjady
Łódź płynie — echo śpiewu zanika w oddali.

Smutek ogarnia duszę; zlorzeczę tej fali,
Co go uniosła.. Cisza...
Stałem pośród sali
Wsłuchany i wpatrzony naprzeciw estrady.

Wincenty Rapacki, (syn).

Fazy twórczości Asnyka.

(*Ciąg dalszy.*)

Po błogich natchniniaeń krótkotrwałość, która nietylko w miłości lecz i w innych objawach ducha ludzkiego przeważa („Myślałem, że to sen"), daje powód poecie do częstego przeciwstawienia marzeń i rzeczywistości („Marzenia

---

przyglądałem się obojętnie przechodniom. Nagle spostrzegłem, że ktoś na mnie patrzy, obejrzałem się i spotkałem z wejrzeniem, na wpół uśmiechniętem, na wpół poważnie ciekawem. Była to kobieta, którą rzadko na ulicy Karola Jana spotykałem; nie miałem najmniejszego pojęcia, co to za jedna. Mimowoli uśmiechnąłem się do niej, lecz wtedy natychmiast odwróciła się i odeszła. Tę jeszcze zobaczę, pomyślałem sobie, i powlókłem się dalej. Tak się też stało. Ilekroć później ją spotkałem, patrzała na mnie ukradkiem, aż wreszcie jednego dnia o zmierzchu wziąłem na odwagę i ukłoniłem się: lecz tym ukłonem zrobiłem fiasco: przy następnem spotkaniu ustroiła minę bardzo poważną. Po tygodniu niewidzenia, byłem w niedzielę przed południem w Galeryi obrazów i tam zastałem moją donnę w towarzystwie jakiegoś starszego pana. Ukłoniłem się — odkłoniła się; krążyłem potem dokoła, mustrując z wszystkich stron. Była średniego wzrostu, miała ciemne, bujne rozrzucone włosy, ciemne *teint*, duże błyszczące oczy i była nie pierwszej młodości. Twarz jej rozjaśniał uśmiech pełen dobroci i zadowolenia z życia, głos brzmiał bogactwem utajonych uczuć. W kilka dni później zapoznałem się z nią przez owego pana, z którym była w Galeryi. Nigdy jeszcze nie doznałem tak dziwnego wrażenia. Pod urokiem jej dobroci, uśmiechu głosu i swobody rozpływały się moje dawne uczucia, skeptycyzm i refleksya. I ona to odczuwała... uczuliśmy oboje, że należymy nierozerwalnie do siebie

Odtąd spotykaliśmy się codziennie o godzinie oznaczonej, tymczasem potajemnie, bo nie znałem, i nawet dotąd nie znam jej rodziny. Spotkania nasze trwają dalej. Ach! jak my wtedy żyjemy! Godzina, którą spędzamy, jest naszym dniem, przez resztę dnia tęsknimy tylko i pragniemy się znowu zobaczyć. Szczęśliwy jestem, kiedy nie potrzebuję myśleć ani o mojej, ani o jej rodzinie, szczęśliwy, że o naszej miłości my tylko oboje wiemy. Ale tak dłużej być nie może, wreszcie musimy się zwierzyć rodzicom. Jest jedynaczką. Wyobrażam sobie, że z ojcem będzie trudna przeprawa, bo on i ja stanowimy zupełne przeciwieństwo, stoimy na dwóch przeciwnych biegunach. A ona to najkonserwatywniejsza dziewczyna, jaką sobie możesz wyobrazić.

Krótko po naszem poznaniu, rzekła raz do mnie: „Gdyby mi przed miesiącem, ktoś był powiedział, że z człowiekiem Twoich przekonań będę z własnej woli rozmawiała, wziełabym go za waryata, a teraz — tu rzuciła mi ręce na szyję. — „Wielki Boże, jakam ja szczęśliwa"! Kiedym pierwszy raz wrócił do domu, już jako jej „wybrany", odpisałem zaraz moim dwom przyjaciółkom, że stosunki nasze muszą ustać. Nie uwierzysz, jak to boleśnie takie więzy zrywać: ale inaczej postąpić nie mogłem. Następnego dnia otrzymałem listy pełne łez, żalu i rozpaczy. Jedna prosiła o rendez-vous; stawiłem się, chociaż niechętnie: każde jej słowo sprawiało mi ból prawie fizyczny. Wkońcu dostała takiego ataku płaczu, że zamkniętym powozem musiałem ją odesłać do domu.

Czy uwierzysz, że dopiero teraz rozumiem, że stosunki takie dla kobiety mają czysto głębsze znaczenie. I dla tego smutno mi na wspomnienie, jakie katusze przechodziła Małgorzata, a może i inne, kiedy przekonały się, że to, co one brały za prawdziwe uczucie, było dla mnie tylko miłostką.

Wreszcie i jej musiałem się wyspowiadać, zapytałem, czy chce poznać moją przeszłość; zażądała tego. Więc opowiedziałem wszystko bez ogródek, bez oszczędzania siebie. Działo się to na górze w parku; siedziała na ławce, a ja promenując opowiadałem. Raz po raz spoglądałem na nią, chcąc widzieć skutek moich zeznań. Siedziała jak skamieniała, bawiąc się nerwowo łańcuszkiem od zegarka. Jeszcze długo po skończeniu mej spowiedzi milczała. Skutek był silniejszy, aniżeli przypuszczałem. Wreszcie stanąłem przed nią, i ująwszy jej głowę w obie ręce, tak, że twarze nasze ku sobie były zwrócone, spytałem: „Jakże *teraz* myślisz o mnie?" „Okropne!" — odpowiedziała, — wstrzymując łzy gwałtownie się cisnące z oczu. „Niedawno temu na balu nie chciałam tańczyć z jakimś panem, bo słyszałam, że on-on-on- pokojówkę swojej matki —... Więc pojmujesz, jak to o-

poranne“) i jest źródłem smutku w nader urozmaiconem ustopniowaniu. Najwcześniejszym w tej grupie jest wiersz „Różne łzy“, w którym obok łez dziewczyny, opłakującej oddalonego kochanka, który może nigdy nie wróci, stawia obraz własnego smutku, goryczy pełnego, gdyż znaleźć nań lekarstwa nie można. W motywowaniu tego smutku nie jest jasny poeta, wyraźniej za to wypowiada się „W albumie“, gdzie się określa, jako „rozbite muzyczne narzędzie“, z którego dźwięk wydobyty brzmi, jak odgłos „ostatniej myśli, która w grobach żyje“. Niewymownie tęskny jest „Powrót piosenki“, gdzie z dwu przypuszczeń, że pieśni, jak skowronki, wracają znów na wiosnę i że są one tylko „własnym cieniem człowieka“, co tak duży z rana, zmniejsza się następnie, a dopiero znów rośnie przy słońca zachodzie, to drugie właśnie jest zakończeniem utworu i powrót piosenki, którą niegdyś zwykła była nucić ukochana, zapowiada noc bliską. Albo jak ładny jest w prostocie swojej nastrój, odtworzony w wierszu „Tęsknota“, gdzie obłoki, co wstają z ziemi i płyną w słońca blask złoty, często nad ziemią obwisną, łzy po nich spływają rzewne, czasem i tęcza się na nich ukaże, porównywa do swego smutnego usposobienia. „Przemija rozkosz i szczęście, boleść niezmienną zostaje!“ woła w wierszu „Na śniegu“. Podobnież smutkiem są przeniknięte wiersze: „Wspomnienie“, „Na pamiątkę“, sonet „Pierwsze uczucia“, „Ach jak mi smutno!“

Chcąc smutek przygłuszyć, rozmaitych środków się chwyta. To zachęca do użycia chwili bieżącej i korzystania z czaru uczuć („Powój“, „Rada“); to, poezytując się za starego do miłości, sięga po kielich („Gdybym był młodszy“, „Piosnka pijaka“); to pragnie sennego spokoju („Endymion“), to znów chce cierpieć, kochać i żyć („Kamień“), albo też wprost przeciwnie, wzdycha do śmierci, apoteozując jej dary („Zmarłej dziewicy“, „Odpoczywa“):

Chcę pozostać zimny, czysty
Na posłaniu mchów
I spoczynek mieć wieczysty
Nieprzerwanych snów.

Niech natury wieczna praca
Wznawia dalszy byt,
Niech proch w koło istnień wraca
Witać nowy świt,

Lecz ja spocząć chcę na wieki;
Od duchów i ciał
Równie obcy i daleki
Będę cicho spał.

Pragnienie to wszakże odpoczynku wiecznego nie jest wcale objawem jakiegoś pesymizmu z zasady, nie jest pożądaniem nirwany, jako jedynego niezmiennego dobra, lecz wynika tak samo, jak wszystkie inne uczucia Asnyka w tej dobie, z chwilowego nastroju, wywołanego jakiemś przykrem wrażeniem, jakiemś starciem się z rzeczywistością. Chociaż bowiem poeta nie zrywał i nie chciał zrywać, na wzór zapalonych romantyków, z życiem ziemskiem i jego sprawami nawet po za sferą uczuć, to przecież boleć go musiała trudność, a częstokroć niemożność przeprowadzenia idealnych celów, idealnych zamiarów w czyn istotny, realny. Prócz tego w duszy jego tkwiła wielka skłonność do marzycielstwa i rojeń. Jest wśród jego ówczesnych liryk jeden utwór bardzo ładny p. t.: „Nagrobek“, który jeśli nie w całości, to w części przynajmniej może być zastosowany do scharakteryzowania jego nastroju. Powiada tu o sobie marzyciel, który przeszedł drogę życia „z próżnemi dłońmi, z sercem rozżalonem“, że rzeczywistości nigdy ręką nie dotknął, że sen mu był życiem, przebudzenie katuszą, że nikogo nie znalazł, ktoby wraz z nim podzielił „gorycz próżnych chęci“, że błyszczał wprawdzie nieustannie „rosą uczuć“, lecz i tę „ptaki niebieskie wypiły“, że wreszcie, gdy legnie w mogile, od zbudzenia zbawi go „ospałość“ i echa po nim nie pozostanie na ziemi żadnego.

Wobec takiego marzycielskiego usposobienia, każde niemiłe zetknięcie się z poziomemi objawami życia, każde rozczarowanie co do osób lub rzeczy, każde obniżenie idealnej miary, jaką w ocenie stosunków ludzkich przykładał poeta, musiało wywołać w sercu gorycz, która się w pieśni przejawiła ironią, sarkazmem, oburzeniem, przekleństwem — lub zobojętnieniem, apatyą.

Rodzaj swojej ironii, czasami ściśle spokrewnionej z humorem w estetycznem znaczeniu tego wyrazu, określił sam poeta w ładnym epigramacie, mówiąc:

Ironia dziwnem jest ziółkiem, co żyje
Łzami i bólem, a śmiechem zakwita,
Na gruzach szczęścia, jak bluszcz się wije,
A w jego wieńcach ruina spowita;
Choć krwawe ślady w łonie swojem kryje,
Zawsze uśmiechem przechodzących wita
I własną pustkę i smutek wyszydza
Przed okiem widza.

Tego bólu i łez serdecznych, i śmiechu, a raczej uśmiechu wytwornego mamy w lirykach Asnyka poddostatkiem. To radzi „lubemu dziewczęciu“, by wyszła za szlachcica, boć wraz z mężem potrzebuje wioski koniecznie; „miłość — to jakaś ciemna zagadka, majątek — ten jest widzialny“; może przykro będzie trochę z początku, że się z młodocianemi marzeniami rozstaje, ale niebawem śmiać się pocznie ze swych żalów, gdy troszeczkę... utyje („Przestroga“). To kreśli „Dwa spotkania“, z których jedno w młodości, kiedy wspólne ideały napełniały serca przyjaciół, a drugie po latach, gdy jeden zapraszał drugiego do szynku. To znów pragnie pozyskać jedno serce, coby przy jego boku miłością zadrżało, i przekonywa się, że choć na pozór tak małe są jego wymagania, żąda przecież „za wiele!“

Gdy ból jest dotkliwy, a nastrój namiętniejszy, wówczas nie wystarcza ironia i sarkazm, lecz pojawia się zwątpienie i rozpacz, pogarda dla teraźniejszości, niewiara w przyszłość. Taka nuta drga w „Pożegnalnem słowie“, gdzie powiada, że „Syzyfowa praca“ mu obrzydła, że woli „pełen pogardy i wstrętu“, odwrócić swoje obłąkane oczy od lądu przyszłych skarg i żalów i od przyszłości, „którą robak toczy“, że woli samotny być świadkiem własnej hańby i rozpaczy, a umierając, nie pozostawić nic, coby ludzie mogli zelżyć „litością.“ Podobnież w wierszu p. t. „Do**“, przemawiając do jednego z przyjaciół, dzielących jego przekonania, gardzi tymi, co przeżuwają życie „na pokory zębie“, sądzi, że nieśmiertelni „wielkością zwątpienia“, zdołają gromem wstydu zetrzeć w proch ludzi, którzy, „w nikczemności pędząc żywot marny, płazowe szczęście, nie wielkość obrali“. Ton ten namiętny, zasilony wspomnieniem „Grobu Agamemnona“, wywołuje „Apostrofę“, najsilniejszą w wyrażeniu ze wszystkiego, co Asnyk napisał, w pobudkach niewątpliwie szlachetną, ale zbyt pretensyonalną, zbyt nierozważnie przeciwstawiającą jednostkę — ogółowi.

Po namiętnych wybuchach uczucia, jak naturalna, zjawia się osłabienie, upadek na duchu, kiedy wszystko wydaje się nam albo błahem albo uludnem, nie zasługującem na żadne starania i zabiegi, kiedy nawet uczucia w nas wydają się tak przytępione, że nie czujemy nietylko radości, ale nawet bólu. Stan taki odmalował poeta w wierszu: „Rezygnacya“, kiedy poeta wziął już rozbrat, jak powiada, z tęsknotą i łzami, kiedy go już nic nie przejmuje zachwytem lub trwogą.

Nie ma boleści, coby mnie trwożyła,
Bo dzisiaj nawet w własny ból nie wierzę,
Ogniowa próba dla mnie się skończyła...
I żadne szczęście ziemskie mnie nie zwabi,
Żebym się po nie miał schylać ku ziemi...
I żaden zawód sił 'mych nie osłabi —
Przebytą męką panuję nad niemi.
Światowych uczuć nicość i obłuda
Już mnie nie porwie swym chwilowym szałem.

---

kropnie kochać kogoś, który tak samo broił i to tak niedawno. A jednak ja cię kocham, kocham do szaleństwa i rozstaćbym się nie mogła, choćbyś dwa razy tyle złego był nabroił“.

Po powrocie do domu rozmyślałem bardzo poważnie nad mojem dawniejszem życiem; patrząc teraz na nie z jej stanowiska, brało mnie obrzydzenie i przeklinałem głośno siebie i całe swoje jestestwo. Jakie płaskie, marne, beztreściwe były wszystkie miłostki mojej młodości, beztreściwe mianowicie w porównaniu z tem, co pod jej wpływem we mnie się wzbudziło! Dziękowałem jej za to i powtarzałem po tysiąc razy. Czarem miłosnym poiłem jej usta, ucho pieściłem miłosnym szeptem. W duszy jej, rozbrzmiewają me słowa: Ty moja, ty jedyna, ja Ciebie kocham każdem drgnieniem mego serca, każdą myślą mego mózgu; za tobą, najdroższa, bezwiednie tęskniłem; znałem Cię oddawna i ty mnie znałaś; chcę Cię zdobywać, nerw po nerwie, atom po atomie, aż się zamienię w Ciebie, a ty we mnie; chcę być przy tobie, z tobą, w tobie, wkrąg ciebie, chociażbyś była daleko odemnie; chcę, żebyś głos mój słyszała, a wzrok mój czuła na sobie, — tak! czuła, bo ja chcę Ciebie, moja ukochana, ja chcę Ciebie.

O! Mój drogi! jak ja ją bezgranicznie kocham! Wyznać ci tego nie umiem; ja jej nawet tego powiedzieć nie umiem, lubo pod urokiem jej osoby dobieram słów i wyrazów, których poprzednio nigdy nie znałem. Chciałbym nieraz przeklinać mowę ojczystą za jej hiobowe ubóstwo wobec potęgi uczucia, gdzie skarbów krezusowych jest tyle. Namiętność — co to za marny wyraz plebejuszowski!

Powtórz tylko głośno: na-mię-tność. To tak zużyte, jak chodniki na ulicy Jana Karola, a beztreściwe, jak zimny kartofel. Drżę na myśl, jak bezgranicznie ją kocham — tę moją — tę ukochaną! Boję się, że płomień miłości nie będzie miał we mnie dostatecznej podniety. Ale nie! ja go będę podniecał z jej pomocą. Od pierwszej chwili zrozumiała, że może być dla mnie jedynie „stróżem aniołem“; ale pod wielu względami już mnie umocniła: jeśli obecnie patrzę na kobietę, to tylko w celu porównania jej z nią, w celu przekonania się, czy ma z nią coś wspólnego. I ja uchodzący niegdyś za mistrza w prowadzeniu ślizgiej konwersacyi salonowej, ja teraz z gniewu się wściekam, gdy ktoś rzuci lekki dwuznacznik. Nie zgadłbyś, co zrobiłem otrzymawszy od niej pierwszy list: Otóż wszystkie dawniejsze listy miłosne wyjąłem, szufladę zmyłem kolońską wodą i dopiero jej list tam schowałem. A teraz uważaj i staraj się pojąć, co ci powiem. Miłość, którą jej ofiarowałem była dziewiczą; miłości takiej mogłyby jej zazdrościć tysiące kobiet, łaknących miłości, gdyby ją zrozumieć i pojąć mogły. Ta miłość taka rozkoszna, swobodna! Tysiącznemi sposobami będę ją ożywiał! Nawet czas naszego narzeczeństwa będzie rozkosznym! Żebyśmy tylko groźnego ojca pozyskać mogli! Pozyskamy go z pomocą mojej miłości.

Lecz wspomnienia przeszłości na te rozkoszne marzenia cień rzucają! Te blade widma przejmują mnie dreszczem. Mimo obecnej siły i wiary, boję się przyszłości, bo wiem, że w łonie swojem może kryć zemstę. Ona o tem także wie, i również się lęka. Lęka, że nie będzie umiała zastąpić mi wszystkich rozkoszy mego kawalerskiego cygaństwa. Pomnę... raz... w jej obecności paliłem listy miłosne i jakiś kosmyk włosów, a oczy jej zaszły łzami, bo śmiejąc się i dowcipkując wykonywałem to dzieło zniszczenia; później znów kiedyś czytałem jej jakiś list miłosny, pisany na cześć kobiety, którą całowałem, — rozpłakała się i zamknęła mi usta pocałunkami. Ty ją z pewnością pokochasz! Dzisiaj opowiadałem jej o Tobie i mówiłem, że Ci napiszę o mojem i naszem wspólnem szczęściu. Zgodziła się, bo wierzy, że *mój* przyjaciel nie może być niedyskretnym. Musisz mi wkrótce odpisać, co o tem wszystkiem sądzisz. Ale niepisz mi żadnych głupstw, bo tegobym nie ścierpiał. Licz się z tem, że ta miłość gwałtownie mną wstrząsnęła, a teraz ulgę czuję, z czego wyspowiadałem się przyjacielowi, który mnie zna i zrozumieć może.

Już szósta godzina! Na ulicy słyszę krok

Przestałem wierzyć w te fałszywe cuda,
Więc i zwątpieniu ulegać przestałem.

Z całego tłumu „zmyślonych aniołów“ pozostała mu tylko garstka popiołu: dziś jeden mu tylko duch towarzyszy, rezygnacya, która uzbroi go na wszystkie burze, nie dozwoli mu roznamiętnić się gniewem, ani potępiać rzesz, goniących za błyskotkami; owszem, da im nawet jałmużnę pobłażania. Spokojnie czekać będzie zgonu,

Bo żadna rozpacz i nadzieja żadna
Nad mojem sercem nie ma już dziś mocy.

Lecz i to na pozór zrezygnowane usposobienie trwałem się wcale nie okaże, nie ma ono bowiem gruntu w najgłębszych warstwach uczucia, ale jest wyrazem nastroju, wywołanego uczuciowo refleksyjną kombinacyą, szukającą bodaj chwilowego ukojenia. Naprózno odżegnywa się poeta i od wiary i od zwątpienia, od nadziei i od rozpaczy, naprózno wypowiada zdanie, iż ze skrzydeł „zmyślonych aniołów“ pozostała mu tylko garstka popiołu. Wspomnienie lat dziecinnych, wspomnienie krzyżyka, zawieszonego na szyi przez matkę, poprowadzi go nieraz jeszcze „Pod stopy krzyża“, epitet „wielkości“ przydany „zwątpieniu“ zmieni się jeszcze na inny, brzmiący: „bezmyślność“, jak to można widzieć w prześlicznym wierszu: „Wierzba na pustkowiu“; anioły zmyślone czy niezmyślone będą jeszcze niejednokrotnie wabić okiem niebieskiem lub czarnem: litością ludzką nie będzie pogardzał, a nawet czasem jej zażąda, bo nie za siebie tylko cierpi („Usprawiedliwienie“).

I z życiem rzeczywistem wogóle nie zerwie poeta, a lubo rzadko przemawiać będzie do ludu słowami przestrogi, upomnienia, zachęty, budzić będzie otuchę i zagrzewać do działania. Chociaż bowiem ludzkość w nieustannym pochodzie naprzód rani pierś własną, „głucha na łzy, nienawiścią zbrojna“, będąc sama sobie „katem i ofiarą“: to przecież „mimo klątw, bólu i zwątpienia“, przeczuwa cel, ku któremu zdąża powoli, i lubo ująć jej nie jest jeszcze zdolna, ma go przed sobą, jak gwiazdę przewodnią („Ludzkości!“)· Ażeby ten cel jeżeli nie osiągnąć, to przynajmniej przybliżyć, potrzeba ludziom: rozumu, nieugiętej woli, prawdziwej duchowej siły i serc czystości“ („Na nowy rok“), potrzeba odwagi, nie tej jednodniowej, „co w rozpaczliwem przedsięwzięciu pryska“, lecz tej, co wiecznie z podniesioną głową umie wytrwać na obranem stanowisku i „przeciwne losy stałością zwycięża“, potrzeba hartu duszy i istotnego ukochania ideałów.

Co więcej, poeta nie zaniedba nawet stanąć w obronie wesołości, przeciw cnotliwym obłudnie damom, przeciw rozłzawionym prorokom, przeciwko głupim poetom, co same smutki bajroniczne opiewają. Niewielką jest zaletą — mówi Asnyk — zjadłszy dobrą pieczeń z rożna, „nad nieszczęściem łzy przelewać i przy cytrze dumki śpiewać“; odkąd dobry humor przepędzono, znikła naturalność, znikło zdrowie i kolory na twarzy, „chorobliwe wszędzie cnoty, nigdzie wdzięku i prostoty“. Młodzież zaledwie kończy lat szesnaście, pozuje na Manfredów, błądzi nad przepaściami, porzuca pracę szkolną, w kąt Iliada! w kąt Horacy! „bohaterstwo — rzecz tak łatwa, dosyć wstąpić na koturny, mieć wzrok czuły i pochmurny“. A poeci, „głusząc piękno i rozsądek“, za muzy swoje biorą jakieś „ćmy wężowe“ i pastwią się nad ojczystą mową: „nad bachantki, co rozniosły Orfeusza krwawe członki, sroższym jest ten niedorosły zastęp, zbrojny w dzikie mrzonki“, co z fanaberyą „kładzie Ossy na Peliony, by się gwałtem dostać w wieczność, gdzie króluje niedorzeczność“. Śmiech jest dobry i zdrowy: cały Olimp, nie wyjmując Minerwy, muz i Apollina, śmiać się lubi („Replika“).

Zapewne w powyższem przedstawieniu rozmaitych odcieni, jakim ulegała uczuciowość i rozwaga Asnyka, pominąłem ten lub ów drobny szczegółik; zdaje mi się jednak, żem wyczerpnął w głównych zarysach najważniejsze przejścia od gorzkiego uśmiechu rozczarowania i ironii, bo przez różne stopnie, aż do swobodnego uśmiechu i wesołości, znamionującej człowieka, który nie zapomina wprawdzie o wadach i ułomnościach ludzkich, o marności lub nijakości zjawisk życia, który przecież pomimo to znajduje i wśród ludzi i w życiu pierwiastki, mogące czoło rozjaśnić i natchnąć nadzieją, że choć cząstka ideału da się urzeczywistnić na ziemi. Niewątpliwie do wyrobienia takiego przekonania wielce dopomogła Asnykowi zdolność refleksyjna, usiłująca chaos wrażeń i myśli doprowadzić do pewnego porządku. Nietylko tedy w ciągu tych trzech czy czterech lat pobytu we Lwowie porzucił poeta krainę „upiornego bytu“, w której zdawało mu się, że żyć będzie zmuszony, nietylko w życiu wewnętrznem, uczuciowem, którego przejawy świetnie wyśpiewywał, znalazł niejako zastępstwo bytu owego, lecz jeszcze nadto doszedł w końcu do jakiegoś ukojenia i lirykę swoją, po wirtuozowsku próbującą tonów najróżnorodniejszych, zgodnie z chwilowym nastrojem, potrafił skierować tam, gdzie miała się „zjawić“ jednolitość i spójność. Dokonanie tego zharmonizowania stanowi trzecią fazę w rozwoju jego talentu.

III.

Ta trzecia faza łączy się z przejazdem Asnyka do Krakowa w 1870 r. Nie odrazu się ona rzeczywiście ujawniła, lecz dokonywała się ona cząstkowo i powoli. Wpłynęły na nią zaś równo stosunki z ludźmi i zwiększający się z każdym rokiem zapas doświadczeń, których zresztą wykazać obecnie, wobec braku wszelkich w tej mierze wiadomości, niepodobna; — jak niemniej, jak na Mickiewicza, podróż krymska, widoki gór tatrzańskich i rozważanie niezłomnych praw przyrody. Uczuł wówczas poeta żywiej niż kiedykolwiek ścisłą zależność człowieka od ziemi, która dając ciało, karmi zarazem na swem łonie „duszę zbudzoną“, roztacza przed nią „kształtów nieskończoność“, rozwija „widzeń tęczę malowniczą“ i wciąż świeżemi napawa wrażeniami. Ziemia to przenika duszę barw i dźwięków falą, rzuca w nią ognie, które wiecznie gorzją „w obłoku marzeń i kwiecistej woni“, podaje jej przędzę, z której snuje coraz dalej świeże uczuć pasma. Od ziemi oderwać się nam niepodobna, gdyż ciężarem ciała z jej ciałem jesteśmy spojeni; musimy zawsze czuć pod nogą ten grunt, „na którym kształty nasze stoją“, musimy żyć w zgodzie z ziemią, gdyż w przeciwnym razie „duch się obłąka w mgle urojeń ciemnej, w złudnych zachwytach, w bezpłodnej rozpaczy, w sennem omdleniu lub walce daremnej“. Chociaż stawiamy sobie cele wyższe nad czysto ziemskie, to przecież, ażeby módz dojść do nich, ażeby sił do osiągnięcia ich nabrać, musimy, jak Anteusz, dotykać stopą ziemi-karmicielki.

Na twoich błoniach wschodzimy jak kwiaty,
A ty stosowne nam wyznaczasz grządki;
Każdy dla siebie znajdzie grunt bogaty.
Swych poprzedników prochy i pamiątki,
I każdy tylko na swej własnej niwie
Może zakwitać silnie i szczęśliwie.

Z zamiłowaniem też wielkiem kreślił poeta krajobrazy tatrzańskie, malując „Ranek w górach“, „Letni wieczór“, „Wodospad Siklawy, „Ulewę“, unosząc się nad wspaniałością „Morskiego Oka“ w 5 ślicznych sonetach i nad samotnie na wyżynach rosnącą „Limbą“, rozkoszując się w „Kościeliskach“ i przepędzając „Noc pod Wysoką“ na dumaniach, w których słabość i potęgę człowieka w stosunku do przyrody rozważał. „Geniusz wyżyn“ stanął przed poetą surowy i groźny, rozpościerając dokoła „milczenie pustyń, nieskończoność ciemną“ i tę samotność, „co dziwnym smutkiem ludzką pierś przygniata“ tak, że chce się ona cofać przed potęgą, sobie nieznaną, przed nieubłaganem, bezlitośnem prawem, przed rozpasanych żywiołów odmętem“, przed tajemniczą nieujętą siłą.

Cisza — a jednak w tej pozornej ciszy
Wsłuchane ucho ciągłe wrzenie słyszy,
Szmer nieustanny, na który się składa
Wszystko, co głosem z życia się spowiada:
I woda, która gdzieś w szczelinie syczy,
I fal powietrza szelest tajemniczy,
I pękających głazów łoskot głuchy,
I wszystkie świata na wpół senne ruchy.
. . . .
I znowu płynie cicho pieśń natury
W gwiaździste sfery, w przestrzeń nieskończoną,
Gdzie wszystkie pieśni zdążają i toną,
I tam się wiąże i zlewa i brata
Z całą harmonią zaziemskiego świata.

Za tą pieśnią natury biegły myśli poety, wyswobodzone z pod tłoczącej je grozy: chociaż podlegał prawom powszechnym, uczuł się jednak wolnym, zapomniał o swoich ziemskich cierpieniach i zanurzył się w wiecznie żywem źródle „poruszającem wielkie koło bytu“, jako ogniwo jednego łańcucha, rozciągniętego przez otchłań niebios, „znalazł wspólne ognisko żywotów i związek z całym ogromem stworzenia“ z „wieczystym duchem, co mu podać gotów rękę“, więc już nie doznawał wrażenia niemocy i lubo drobny atom, mógł się powierzyć z ufnością tej „twórczej myśli“, co kieruje wszechświatem.

Te uwagi, jakie refleksyjnemu poecie nasunęły się w nocy, przepędzonej pod Wysoką, wracać mu będą często w dalszem życiu, wytwarzając szereg poezyi, które, nie tracąc powabów piękna, nabierają znaczenia filozoficznego. W „Chórze Oceanid“ przedstawia nieustanną walkę żywiołów, jako powszechne prawo istnienia, odmieniające wciąż powierzchnię światów i toczące naprzód rwący prąd życia. Ono utrzymuje wszystkie wrogie potęgi w żywej równowadze, ono z sprzecznych dążeń i kierunków wytwarza jedność działania i celu, „w zniszczeniu siejąc światło nowych zórz“. Godzi się z tem prawem wiecznej przemiany i wiecznej walki, choć w niej niejedna droga mara sponiewieraną zostanie. „Nie można powstrzymać strumienia! — mówi przez usta Dyonizosa w wierszu p. t.: „Orfeusz i bachantki“ — ani młodzieńczych uniknąć nadużyć: kroczące naprzód nowe pokolenia kruszą narzędzia, co im nie chcą służyć“. Ostrzega on starych, że „przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia“, że trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe; a młodych napomina, by „szukając prawdy jasnego płomienia“, nie deptali „przeszłości ołtarzy“, gdyż mądrość prawdziwa umie godzić potrzeby życia nowego z tem, co w ciemność już zachodzi „wraz z całą tęczą idealnych snów.“ Przejęty względnością wiedzy ludzkiej, z tego jej właśnie charakteru dobywa przestrogę, by pracy i wysiłków pokoleń poprzednich nie lekceważyć. „I wasze gwiazdy, o zdobywcy młodzi — w ciemnościach pogasną znów“ — woła on do zbyt butnie kroczących naprzód. Prawda jest jak ów mityczny

---

robotników, spieszących do pracy. Niezadługo wszyscy w domu się przebudzą: pozamykam drzwi, żeby nikt spoczynku mego nie przerywał. Lampy palą się jeszcze jasno, a świece gorèją jak przy katafalku. Mam wrażenie, że przeszłość moja leży na marach, a ja, jej syn rozstaję się z nią przy blasku światła.

Miłostki mej młodości, bywajcie zdrowe! towarzysze hulanek, bywajcie zdrowi! kobiety, które całowałem i do serca tuliłem, bywajcie zdrowe! dziewczęta, które oszukiwałem, bywajcie zdrowe! listy i schadzki, bywajcie zdrowe! wszystko, co w myśli i słowie i czynie nie zgadza się z miłością dla niej, bywaj mi zdrowe!.. A ty jutrzenko złota bądź pozdrowiona w imię pracy i rozkoszy z nią, przy niej i dla niej, w imię wszystkiego, co daje rozkosz i zadowolenie! Bądź pozdrowiony drogi przyjacielu. — nowe życie bądź pozdrowione! — A teraz wypijam resztę chambertinu, życzę Ci dobrej nocy i zawieram sojusz z życiem — przez miłość dla niej.

Twój wierny przyjaciel

Piotr Sommerfeld.

Proteusz, który wciąż postać swoją odmienia, „gdy śmiały nurek w głębi go napadnie“, i coraz to nową odpowiedź każdemu z nich dają.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Piotr Chmielowski.

Książka St. Koźmiana o 1863 r.

(Ciąg dalszy).

Posłuchajmy jeszcze ostatnich słów spowiedzi p. Koźmiana.

„Teraz zrozumieliśmy, wobec bezowocności naszych usiłowań, ich zgubność, czuliśmy, iż zapóźno kładziemy im koniec, aby w mniejszej mierze naprawić złe wyrządzone krajowi.

„Nie jest moim zamiarem zmniejszać winy własnej i moich przyjaciół. Przeciwnie chciałem wykazać, jak dalece *niedoświadczenie* w sprawach publicznych, brak dostatecznego wyrobienia charakteru i sądu, zwłaszcza i przedewszystkiem wpływ błędnych, acz szlachetnych wyobrażeń, w których się jest wychowanym, zgubnemi stać się muszą we wszystkiem działaniu politycznem jak w niem dobre i czyste zamiary nie wystarczają, jak wychodząc z fałszywego punktu widzenia, niepodobna dróg sprostować i do celu dojść. Chciałem wykazać, że są przedsięwzięcia tak dalece szalene, iż wszelkie w nich rachuby okazać się muszą mylnemi, a rozsądne usiłowania stać się zgubnemi; oraz, że jest bezrozumnem chcieć do nich stosować prawidła rozumu. . . . .

„Ale nasz, to jest mój i moich przyjaciół udział, w winie ogólnej, znajduje jeżeli nie usprawiedliwienie, to wytłomaczenie w zbiegu okoliczności, w naszych stosunkach ówczesnych i w winach i błędach innych; nietylko w pomyłkach naszych rodaków, tych, z którymi byliśmy złączeni tożsamością przekonań i zapatrywań, węzłami wspólnych usiłowań, a którzy lepiej od nas sądzić mogli o położeniu: ale także w pomyłkach potężnych tego świata, mężów stanu i polityków, zwłaszcza Napoleona III. Postępowanie nasze nie było bezmyślne, ani że się tak wyrażę — nasza pomyłka bezpodstawną: bo następstwem tylko pomyłki innych, o których sądzić mogliśmy, iż pomylić się nie powinni...... Pomyłką było liczyć na obcą pomoc, ale nie szaleństwem: pomoc ta zawiodła, ale do bezsilnych środków zaliczoną być nie mogła. Nie danem nam było złego naprawić, lub ze złego korzyści wyciągnąć — jak pragnęliśmy i mniemaliśmy — przeciwnie, naszym współudziałem zwiększyliśmy rozmiary złego, nie byliśmy jego sprawcami. Bezrozumu nie popełniliśmy; przypuszczając, że z niego da się coś rozumnego wydobyć, dopuściliśmy się błędu i znaczenia, przyczyniliśmy się do szkody ogólnej: dla tego twierdzę, że skutek stał się nietylko wyrokiem ale i nauką. Niech pierwszy pozostanie nieodwołalnym, byle druga strona nie została . . .

„Przyznam co do mnie, że obawa pozostania po za działaniem narodowem, od chwili, jak ukazały się rozsądne widoki powodzenia, bo oparte na zewnętrznej pomocy, podziałała na mnie: że *podziałała sposobność odznaczenia się w służbie ojczystej na obszerniejszem polu, w większym niż dotąd stylu*; że podziałały rachuby rozwiązania sprawy polskiej już nie w ciasnych, ale w szerszych rozmiarach. Przyznam nareszcie, iż pomimo, że w ciągu wypadków mniej od innych miałem może złudzeń, a parę razy zdawałem się jaśniej widzieć; dla tego nie zatrzymałem się, bo nie miałem już odwagi śmiało i stanowczo zajrzeć prawdzie w oczy, nie z błachej obawy przyznania, iż się pomyliłem, ale dla tego, że wyjścia już nie widziałem, a odłączyć się od moich przyjaciół w tem położeniu nie chciałem; ani rozstawać się nawet z ułudami.

„*Wyznaję to wszystko, aby okazać niebezpieczeństwo w polityce, a zwłaszcza w położeniach wyjątkowych, pobudek mających swoje źródło nie w rozsądku i obowiązku, nie w poczuciu tego co możliwie, lecz w wyobraźni, w zachciankach i miłości własnej*“.

VII.

Musimy sobie teraz zadać pytanie: czem właściwie jest książka p. Koźmiana?

Historyą powstania nie jest i zresztą być nią nie miała zamiaru. Dowiadujemy się z niej tylko, że powstanie wybuchło, istniało i upadło. Czasem znajduje się wzmianka o jakiejś bitwie, czasem wkracza p. Koźmian w granicę Królestwa, ażeby widzieć obóz Langiewicza, lub wspomnieć o porażce Jordana, ale są to wycieczki wypływające z toku opowiadania, niemające na celu nawet grubszemi konturami zaznaczyć przebieg nieszczęsnej walki.

Daleko więcej nacisku kładzie p. Koźmian na dyplomatyczne zabiegi mocarstw i kto wie nawet, czy nie zdaje mu się, że skreślił po raz pierwszy ich historyą. Jeżeli jednak tak sądzi, to jest w błędzie, opowiada bowiem rzeczy powszechnie znane, a oprócz kilku anegdot nie dorzuca nic nowego. To mało, bo nietylko nie daje nowych faktów, ale nie wyzyskuje licznych materyałów, któreby dały pełniejszy obraz niedołężnej akcyi mocarstw europejskich. Pod tym względem praca jego nie zasługuje nawet na nazwę niezłej kompilacyi. Dobry kompilator nie potrzebowałby nic więcej jak tylko przejrzeć lwowskie „Wydawnictwo materyałów do historyi powstania“, a już na jego podstawie mógłby skreślić zajmujące dzieje akcyi dyplomatycznej Anglii, Francyi i Austryi. To co dał p. Koźmian jest zaledwie lekkim szkicem, niewykończonem tłem obrazu. W tle tem brakuje całkiem zabiegów dyplomatycznych Rządu, nad któremi nie należało przejść do porządku dziennego, ponieważ były one częstokroć w bezpośrednim związku z akcyą mocarstw interweniujących.

A więc może książka p. Koźmiana jest historyą udziału Galicyi w powstaniu 1863. I to nie, bo znowu pierwszy lepszy kompilator znalazłby bez wielkich zachodów materyał jeśli nie wyczerpujący, to w każdym razie bardzo obszerny. P. Koźmian zdaje sie całkiem o nim nie wiedzieć. To co robiła wschodnia Galicya jest dla niego *terra ginota*. Nie potrudził się nawet o szkic szkicu, nie zajrzał do materyałów drukowanych, a więc każdemu przystępnych. Rozczulającem jest n. p. jego wyznanie, że mniej dokładnie pamięta skład i zmiany komitetu lwowskiego, niż krakowskiego“. Któż żąda od pana Koźmiana pamięci i po co ta pamięć wogóle, kiedy jej trudzić całkiem nie potrzeba. Dość byłoby p. Koźmianowi zajrzeć do III tomu „Wydawnictwa materyałów“ i do wydanych w roku 1893 „Wspomnień“ S. Jarmunda b. komisarza Rządu Narodowego we Lwowie, a przeczytałby sobie dokładnie skład komitetu lwowskiego i dowiedziałby się o zamiarach w nim zachodzących.

Nareszcie przechodzimy do tego, czem według silnego przekonania p. Koźmiana jest na prawdę jego książka. Oto na tle zabiegów dyplomatycznych, na tle powstania, na tle udziału Galicyi w powstaniu, p. Koźmian pragnął nam opowiedzieć o ile Kraków i zachodnia Galicya porwane były w wir wypadków i czem się przyczyniły do wzrostu nieszczęść, lub do ich osłabienia. Bądźmy jeszcze ściślejsi i powiedzmy, że p. Koźmianowi nie chodziło nawet tak dalece o Kraków i zachodnią Galicyą, ile o udział w organizacyi i w wypadkach konserwatystów Krakowa i zachodniej Galicyi.

To miało być właściwą treścią książki, to miało podnieść ją do stanowiska przyczynku historycznego do dziejów powstania. Wprawdzie tytuł książki brzmi wyraźnie: *Rzecz o r. 1863*, ale może pan Koźmian powiedzieć: proszę nie sądzić z tytułu źle wybranego, ale z treści“. Może dodać jeszcze: „nie uwzględniam zarzutów tyczących się zbyt ogólnikowo traktowania akcyi dyplomatycznej, udziału Galicyi i t. p., bo wszystko to w mojej książce są rzeczy dyplomowe. Odpowiadam tylko za skreślenie dokładnego obrazu pomocniejszej akcyi konserwatystów krakowskich i zachodnio galicyjskich“,

I rzeczywiście zdawaćby się mogło, że jest w mocy p. Koźmiana wypełnić to skromne zadanie. Sam brał pewien udział w tej pomocniczej akcyi, był związany stosunkami z ludźmi ją prowadzącymi — powinny i mu pozostać z tych czasów niejakie notaty, ulotne pisma i dokumenty. Przyjaciele jego polityczni, z którymi do dziś dnia utrzymuje ścisłe stosunki, również dosyć pamiętać mogli, a więc z opowiadań ich mógł wybrać garść faktów nieznanych szerszemu ogółowi. Ale kto traktuje rzecz na seryo, ten musi pamięć swoją i cudzą odświeżać, uzupełniać, prostować materyałem drukowanym i archiwalnym. Bez tej pomocy nie zdobędzie się na nic więcej jak na kilka anegdot wątpliwej autentyczności, na spisanie przechowanych wrażeń, jednem słowem na drobiazg bez żadnej większej wartości. Dziesięć, dwadzieścia, sto nawet takich wspomnień fejletonowych przez dziesięciu, dwudziestu, stu ludzi napisanych nie złoży jeszcze pełnego i dokładnego obrazu, Będą to sobie opowiadania przy koniaku, ale nie będzie to historya: powiększą one zasób naszych anegdotek, ale nie zbogacą wiedzy. Nietylko nie zbogacą, ale ją obniżą, bo anegdota częstokroć jest największym wrogiem prawdy. Przytem okaże się z tych „wspomnień“, iż jeden i ten sam fakt rozmaicie będzie opowiadany i motywowany, że jedna i ta sama anegdota przyjmie dziesięć różnych sobie postaci, że powstaną najzupełniejsze sprzeczności, które wyjaśnić mogą dopiero dokumenty. Do nich więc potrzeba się odnieść, ten materyał należy wyczerpać, ażeby swej pracy nadać wartość prawdziwą. Historyk z taką wykonaną pracą liczyć się muśi, a choćby odrzucił tkwiącą w niej tendencyą, choćb przyszedł do odmiennych, niż jej autor zapatrywań, będzie mu wdzięcznym za fakta i za ich ugrupowanie choćby całość była nawet najzwyklejszą, ale dobrze zdobioną kompilacyą.

P. Koźmian tego najzupełniej nie zrozumiał. Nie chciało mu się nietylko zajrzeć do źródeł archiwalnych, ale czuł poprostu wstręt do tego, co już o jego przedmiocie wydrukowanem zostało. Lekką miał robotę, lekką też napisał książkę i lekkie po niej pozostanie wspomnienie.*)

Już podczas streszczenia *Rzeczy* tu i owdzie wytknęliśmy błędnie podane fakta. Byłoby jednak rzeczą do najwyższego stopnia niegrzeczną i niewdzięczną gdybyśmy chcieli przeglądać kartę za kartą i prostować wszystko, co do sprostowania się nadaje. Znaczyłoby to napisać recenzyą dwa razy większą od samej książki. Przytem nie byłoby z tego żadnej dla nikogo pociechy, bo zadawszy sobie tyle trudów lepiej byłoby napisać całkiem nową *Rzecz o roku 1863-cim*.

Nie będziemy więc przechodzili szczegółu za szczegółem. Wystarczy nam dać jeden ale dostateczny przykład dla przekonania czytelnika z jaką lekkomyślnością przystąpił p. Koźmian do napisania dziejów akcyi pomocniczej Krakowa i zachodniej Galicyi w powstaniu styczniowem.

Wiemy ze streszczenia książki p. Koźmiana, iż zawiązały się „jawno-tajne (jak on je dla zachowania pozorów „jawności“ nazywa) koncerty w Krakowie i we Lwowie, na których czele stali ludzie poważni, konserwatyści. Wiedzą czytelnicy dalej od p. Koźmiana, kto należał do komitetu krakowskiego i jak ten komitet prowadził nieustannie spory z *Rządem narodowym* o swoje atrybucyje. Rezultatem tych sporów było zwycięstwo komitetu w chwili, kiedy *Rząd narodowy* myślał, że przy jego pomocy zrealizuje pożyczkę. Z całej książki, z całego toku opowiadania widać, iż komitet ten zamieniony później w Radę prowincyonalną objął rządy w zachodniej Galicyi, że prowadził całą akcyą aż do ostatnich prawie chwil powstania, a ustąpił dopiero wtedy kiedy w kwietniu 1864 roku aresztowano naczelnika Rządu Narodowego Trauguta i kiedy Napoleon powiedział Czartoryskiemu, że w sprawie polskiej „wszystko skoń-

---

*) St. Jarmund, nie pisarz, nie polityk, nie historyk, nie publicysta, a przecie rozumiał, to czego nie pojął pisarz, polityk, historyk i publicysta. Pomimo, iż wszystkie sprawy Galicyi wschodniej przez kilka tygodni przechodziły przez ręce, pomimo więc dobrej o nich pamięci zajrzał do „Wydawnictwa Materyałów“, a nawet przeglądał wszystkie dukumenta z owych czasów znajdujących się w bibliotece Ossolińskich.

czone.“ Wprawdzie członkowie komitetu krakowskiego byli dwa razy aresztowani (drugi raz we wrześniu) ale „*nie położyło to końca istnieniu komitetów w Galicyi* (str. 230). W innem miejscu (str. 159) pisze p. Koźmian „organizacya ta jawno-tajna *przez cały czas wypadków* funkcyonowała dobrze, szybko i karnie“. Wreszcie po wzmiance o rozmowie Napoleona z Czartoryskim (18 kwietnia 1864) pisze p. Koźmian: „komitety galicyjskie rozwiązały się — oświadczyliśmy, że do dalszego przedłużania powstania ręki nie przyłoży (str. 243).

K. Bartoszewicz,

(Ciąg dalszy nastąpi).

BADANIA NAUKOWE.

Stan hypnotyzmu.

I.

Kwestya hypnotyzmu podniesiona przez Braid'a zwróciła na siebie uwagę wielu lekarzy w 1853 r., gdy fizyolog Carpenter w sześciu swych wykładach, w Royal Institution w Manchester, o funkcyach systemu nerwowego z szczególniejszem uwzględnieniem somnambulizmu, uznał najzupełniej fakty wykazane przez Braid'a, oraz przyjął jego teoryę. Teorya ta wprowadzoną została do Francyi przez dra Azania z Bordeaax około 1860 r., szczegółowiej ją zaś rozwinął dr. Liebeault z Nancy w r. 1866. W tymże czasie poglądy Braid'a doszły i do nas i wyłożone zostały po raz pierwszy w dziele dra Szokalskiego: „Fantazyjne objawy zmysłowe“ (Warszawa, 1860).

Teorya hypnotyzmu zyskuje jednak charakter pozytywny dopiero od r. 1878, dzięki badaniom prof. Charcot i jego uczniów w szpitalu Salpêtrière w Paryżu.

Opierając się na badaniach hypnotyzmu u osób histerycznych, uczony ten wykazał istnienie trzech jego form fizyologicznych, trzech stanów specyalnie wyróżniających się objawami: letargu, katalepsyi i somnambulizmu.*) Stany te, występujące zwykle dość wyraźnie na gruncie histerycznym, nie zawsze dają się wzbudzić u osób niehisterycznych.

Objawy psychiczne spostrzegane w hypnotyźmie polegają na stopniowem, częściowem lub zupełnem, zawieszeniu czynności umysłowych, poczynając od najwyższych i najpóźniej zdobytych w rozwoju jednostki i gatunku, a kończąc na najwyższych i najpierwej powstałych. Najprzód zawieszoną zostaje wola, następnie zdolność rozumowania, dalej poczucie osobowości, a w końcu nieświadoma czynność psychiczna. Ponieważ zdolności umysłowe mają swe siedlisko w szarej czyli zewnętrznej substancyi mózgu, można zatem powiedzieć, iż zjawisko hypnotyczne są wyrazem częściowego (katalepsya i somnambulizm) lub zupełnego (letarg) zawieszenia czynności tejże substancyi.

Prądy nerwowe, dzięki licznym i rozmaitym skojarzeniom istniejącym pomiędzy ośrodkami tak czuciowemi jak i ruchowemi, mogą się spotykać i wzmagać swą intensywność, lub ją osłabiać, lub też jedne drugie mogą powstrzymywać (inhibicya). Drażnienie *n. p.* nerwu błędnego powstrzymuje bicie serca, drażnienie nerwu górnego krtaniowego powstrzymuje oddychanie i t. d. Żaba pozbawiona mózgu skrzeczy przy dotykaniu skóry jej grzbietu, lecz gdy jednocześnie ściskamy jednę z jej łapek, nie skrzeczy, ta ostatnia bowiem podnieta powstrzymuje czynność ośrodków narzędu głosowego. Jeżeli obnażymy mózg psa i działać będziemy słabą podnietą elektryczną na ruchową okolicę powierzchni jego zwojów, to pies poruszać będzie łapą strony przeciwnej. Z chwilą jednak, gdy podsuniemy mu pod nos kawałek mięsa, taż sama podnieta żadnego nie wywiera nań wpływu; podniecenie ośrodków wzrokowych i węchowych powstrzymuje wrażliwość ośrodków ruchowych. Podniety zmysłowe osłabiają zatem lub powstrzymują wrażliwość ośrodków ruchowych szarej substancyi mózgu t. j. zwiększają w nich intenzywność zjawisk inhibicyi. Słabe podniety zmysłowe wpływają powstrzymująco na ośrodki rucho jeżeli te są czynne i podniecająco, gdy te są bezczynne. Stosuje się to nietylko do mózgu ale i do rdzenia kręgowego. W chwili, gdy organizm pozbawiony zostaje wpływu słabych podniet zmysłowych, jak to ma miejsce w stanie hypnotycznym, zjawiska inhibicyi słabną w ośrodkach nerwowych, podniecalność natomiast tychże środków wzmaga się w wysokim stopniu. Słabe podniety zmysłowe, dmuchnięcie *n. p.* wywołują wówczas skurcze mięśni, wpływając zaś powstrzymująco na czynność ośrodków ruchowych, skurcze te następnie usuwają. Ośrodki czuciowe również nadzwyczaj bywają pobudliwe w stanie hypnotycznym; słabe podniety zmysłowe wprowadzają je w stan silnego podniecenia, ztąd łatwość halucynacyi, wskutek zaś przekazywania się tegoż stanu podniecenia za pośrednictwem ośrodków i nerwów ruchowych mięśniom, budzone bywają odpowiednie ruchy automatyczne. Słabe podniety zmysłowe wystarczają jednak, ażeby powstrzymać ową czynność ośrodków czuciowych t. j. halucynacye i związane z niemi ruchy. Podniety silniejsze przerywają sen hypnotyczny.

Ośrodki ruchowe szarej substancyi mózgu działają powstrzymująco na odruchy rdzeniowe w stanie czuwania. We śnie hypnotycznym działania tego nie ma, odruchy więc rdzeniowe wzmagają się i to tem więcej im większa część szarej substancyi mózgu znajduje się w stanie inhibicyi. Widzimy to szczególniej w katalepsyi, gdzie odruchy dochodzą do maksymum i przejawiają się w silnych skurczach mięśni.

Ażeby dać obraz stanu mózgu podczas snu hypnotycznego, dr. Beard z New-Jorku przyrównywa jego powierzchnię do żyrandola o licznych rożkach gazowych; podczas czuwania palą się one wszystkie jasno, we śnie zwyczajnym są przykręcone, we śnie hypnotycznym wszystkie gasną prócz jednego palącego się w całym swym blasku i zużywającego wszystek gaz pozostały.

Mózg hypnotyka zachowuje się tak jak by był zupełnie wolnym od wszelkiej myśli i jakby wszelkie wyobrażenie poddane, rzucone przez hypnotyzera na ową *tabula rasa*, korzystało z tego, że jest samo, ażeby się rozlać na wszystkie strony i zabezpieczyć swe panowanie we wszystkich kierunkach w tej dziedzinie niezajętej. Ztąd owa łatwowierność bezgraniczna osoby zahypnotyzowanej odnośnie do słów hypnotyzera. Najnieprawdopodobniejsze twierdzenie tego ostatniego znajduje wiarę w hypnotyku i zostaje przezeń przyswojonem. Twierdzenie takie staje się ośrodkiem czynności mózgowej, źródłem wszystkich jego myśli dotąd, dopóki nowe jakieś twierdzenie nie zostanie poddane jego łatwowierności, choćby było zupełnie przeciwne pierwszemu. Szklanka czystej wody może być dla osoby zahypnotyzowanej winem lub środkiem przeczyszczającym i wywoływać odpowiednie skutki stosownie do woli hypnotyzera.

Skazany na śmierć, w którego wmawiano, że mu przecięto cztery żyły, umarł rzeczywiście, przeszedłszy okresy agonii opisanej przez lekarza. Osoba zahypnotyzowana może zapomnieć swe nazwisko i swą osobistość i może się uważać za jakąś inną istotę, stosownie do poddanego jej wyobrażenia. Łatwowierność taka właściwą jest somnambulicznej formie hypnotyzmu.

W stanie letargu odosobniany od świata umysł nie oddziaływa na podniety zewnętrzne, czynności psychiczne są w nim jakby zawieszone; wmawianie (suggestya) żadnego nie wywiera nań wpływu.

Stan katalepsyi jest stanem świadomości rozproszanej nieosobowej; wrażenia odbierane pozostają odosobnione. Stan ten podobny jest do stanu przychodzenia do przytomności po zemdleniu. Podnosząc rękę osoby w stanie katalepsyi, wywołujemy w mózgu tejże osoby pewne wrażenie mięśniowe, odpowiadające dokładnie danej pozycyi ręki (ramienia, dłoni i palców). Wrażenie to odosobnione, samo wyłącznie będące czynnem, nie spotykając żadnego przeciwdziałania w umyśle, trwa dotąd, dopóki się nie wyczerpie zasilająca je energia. Dzięki temu utrzymuje ono przez cały ciąg swego trwania pozycyę ręki, z którą nierozerwalnie jest związane.*) Widok ruchu wywołuje również w powyższym stanie umysłu wrażenie odpowiednie i ruch mięśni z wrażeniem tem związany. Tłomaczy nam to fakt naśladowania i powtarzania ruchów w katalepsyi, a także i w somnambuliźmie. — Dzieje się to również w pewnym stopniu i na jawie; widok lub wyobrażenie jakiegoś ruchu budzi w nas dążność do wykonywania tegoż ruchu. Świadczy o tem najlepiej to, że gdy nie chcemy wykonać jakiegoś ruchu, lub też nie chcemy czegoś wypowiedzieć, wówczas wyobrażenie owego ruchu, lub owych słów tak bywa silnem, iż często wykonanie tego, czego chcielibyśmy uniknąć, następuje.

Katalepsya hypnotyczna, zwana niekiedy fascynacyą, oczarowaniem, wywoływaną bywa przez nagły błysk światła, hałas niespodziany, działanie wzroku i t, d. Kataleptyk nie widzi i nie słyszy nikogo prócz swego czarownika, jedynego pośrednika pomiędzy sobą, a światem zewnętrznym, utożsamia się z nim, odtwarza mimowolniczo jego ruchy, postawę, wyraz twarzy, jednem słowem, jest jego sobowtórem. Stan ten podobny jest do stanu, w jakim się znajduje ptak wobec węża; z tego powodu dr. Brémaud nazwał go stanem oczarowania. Władza czarownika nad osobą oczarowaną przechodzi momentalnie na inną osobę, gdy tenże wzrok jej na ową osobę skieruje.

Jako przykład takiego nagłego oczarowania kataleptycznego posłużyć może następujący wypadek. Zawiadowca pewnej małej stacyi kolejowej we Francyi, oczarowany przez nagły świst lokomotywy, nie spostrzegł zbliżającego się pociągu, skutkiem czego został przezeń przejechany. Zanim skonał, wyraził swe zdziwienie, iż nie widział i nie słyszał nadchodzącego pociągu. Kilka razy przedtem zdarzały się z nim wypadki nagłego oczarowania wskutek rozmaitych przejść moralnych.*)

Z tego, cośmy dotychczas powiedzieli, wynika, iż hypnotyzm jest pewnem zaburzeniem wychodzącem po za obręb zwykłych faktów fizyologicznych. Ponieważ histerya najlepszy przedstawia grunt dla hypnotyzmu, musi więc być pomiędzy dwoma temi stanami jakaś współzależność. Świadczy o tem wyraźnie ten fakt, że zamiast hypnozy wywoływany bywa niekiedy atak histeryczny. Hypnoza byłaby w takim razie formą ataku histerycznego. Nic w tem zresztą niema dziwnego, skoro bowiem naturalny somnambulizm (noktambulizm, lunatyzm) jest zamaskowanym przejawem histeryi, jak to utrzymuje Gilles de la Tourette,*) to i somnambulizm wywołany sztucznie za sztuczną formę histeryi uważany być może.

Wiadomo nadto, iż częste hypnotyzowanie osób zdrowych wpływa na nie rozstrajająco, usposabia do histeryi, a nawet niekiedy do obłąkania doprowadza. Hypnotyzm zatem jest stanem nienormalnym, szkodliwym dla zdrowego organizmu.

Nie jest on właściwie chorobą, ale rozstrajając organizm prowadzi do chorób nerwowych, jest więc chorobotwórczym.**)

Dr. Antoni Złotnicki.

---

*) Comptes-Rendus do l'Academie des sciences. 1882.

*) Pierre Janet. L'Automatisme psychologique Paris. 1889. p. 55, 56.

*) D. Mesnet. Le sonmambulisme provoqué et la fascination. Paris 1893

*) Gilles de la Tourette. L'Hypnotisme au point de vue médico-légal.

**) Tak zwana szkoła Nancy (Bernheim, Beaunis, Libeault) w przeciwstawieniu do szkoły Salpêtrière (Charcot, Richet, Babiński, Gilles de la Tourette) uważa hypnotyzm za zjawisko normalne dla tego tylko, że można je wywoływać także u osób zupełnie zdrowych. Argument ten niczego nie dowodzi.

Szkoła i wychowanie.

Co czytają dzieci?

II.

Ponieważ mowa o literaturze dziecinnej przypatrzmy się w jaką fazę sprawa ta weszła obecnie w Warszawie. Wśród powodzi książek i książeczek wydawanych tam corocznie były naturalnie rzeczy o bardzo rozmaitej pedagogicznej i literackiej wartości. Zależało to przedewszystkiem od kompetencyi autorów, tłumaczów i wydawców, z których jedni wyłącznie chęcią zysku, inni zdrową dążnością wychowawczą się kierowali. Rodzice, kupując swym dzieciom książeczki nie mieli czasu odczytywać ich sami, wyborem ich więc powodowały jedynie niedostateczne wskazówki sprzedających.

Wobec tego kółko pedagogów z zawodu, wyłącznie lub przeważnie kobiet, postanowiło sprawę wydawnictw dla dzieci wziąć w swoje ręce. Przedewszystkiem zabrano się do przejrzenia i ocenienia książek już w handlu księgarskim kursujących, a owocem tej mozolnej pracy jest wydanie rozumowanego katalogu dla użytku rodziców i wychowawców. Obok tytułu i ceny każdego dziełka umieszczono tam uwagi o jego zaletach i wadach oraz objaśnienia, dla jakiego wieku dzieci jest ono przeznaczone. Katalogi takie przesłane będą niebawem i do Poznania.

Toż samo kółko kobiet zawiązało się w Spółkę wydawniczą i postanowiło swojem staraniem i kosztem drukować oryginalne książeczki dla dzieci i tłomaczyć z obcych te, które stanowić mogą pożyteczny dla piśmiennictwa naszego nabytek. W tym celu starają się zbierać jak najliczniejsze i jak najdokładniejsze o zagranicznych wydawnictwach informacye. W ostatnich czasach złożyły w Petersburgu podanie o pozwolenie otwarcia własnej księgarni i lada dzień spodziewają się otrzymać pomyślną odpowiedź.

Ponieważ jednak warszawskie „pedagogiczki“ usiłują zadanie swe jak najsumienniej i jak najgruntowniej traktować — nie polegając na zdaniu samych tylko literatów i krytyków, nie poprzestając na własnem doświadczeniu i kompetencyi, postanowiły potrzebnych im wskazówek zasięgnąć u samego źródła t. j. od swych małych czytelników. W tym celu ułożono kwestyonaryusz o czytaniu dzieci i rozesłano do rodziców i nauczycieli z prośbą o jak najliczniejsze odpowiedzi. W kwestyonaryuszu tym chodzi o wiadomości, co dzieci czytają najchętniej, jak czytają i jakim jest wpływ przeczytanych książek na ich postępowanie lub charakter.

Zbieranie tych odpowiedzi jest zarówno ciekawem jak i pouczającem. Dzieci bardzo chętnie spowiadają się ze swych wrażeń zwłaszcza, gdy je objaśnimy, że celem przeprowadzonego śledztwa jest poznanie ich upodobań i zadowolnienie takowych. Niektóre wypowiadają przytem bardzo ciekawe i charakterystyczne uwagi, które naturalnie jako samodzielny pogląd większą jeszcze mają wartość niż proste odpowiedzi na punkty kwestyonarzusza. — Dla autorów takie zestawienie uwag i zapatrywań dziecinnych jest doskonałym przewodnikiem do poznania czytelników i ich umysłowych potrzeb, dla pedagogów cenną wskazówką, jakiej pomocy lub poparcia ze strony literatury dziecięcej spodziewać się i oczekiwać mogą. Rodzicom wreszcie otwierają oczy na niektóre skłonności i upodobania dzieci, które inaczej mogłyby dla nich tajemnicą pozostać. Zestawienie takich dokumentów, dotyczących czytelników różnej płci, różnego wieku i rozmaitych warstw społecznych stanowić może ciekawy przyczynek do psychologii dziecka.

Zanim w dzielnicy naszej ruch umysłowy ożywi się aż do tego stopnia, żebyśmy stworzyć mogli własne wydawnictwa, księgarnie, czytelnie dla dzieci przeznaczone, zanim dorobimy się własnego pisemka dla młodocianych czytelników — co w każdym razie ze względu na wolność prasy, którą się cieszymy, byłoby rzeczą pożądaną, — w interesie naszej dziatwy należałoby z warszawskiemi pracami solidaryzować się, popierać je i brać w nich udział. Katalog rozumowany powinien znaleźć odbyt we wszystkich błogosławieństwem bożem obdarzonych rodzinach; osoby czytające pisma zagraniczne powinny szukać w nich wiadomości o nowych książkach dla młodocianego wieku i spółkę wydawniczą o nich informować, wreszcie — last not least — byłoby pożytecznem, ażeby i nasza dzielnica dostarczyła licznych w kwestyonaryuszu odpowiedzi. To ostatnie byłoby i z tego względu ważnem, że dałoby nam obraz istotnego stanu rzeczy, objaśniłoby, czy umysłowe potrzeby naszej dziatwy we właściwy sposób i w odpowiedniej mierze zaspakajane bywają, słowem, pozwalałoby nam obliczyć nasze w tym kierunku bogactwo lub ubóstwo. Jeżliby ogólny rezultat wbrew mym przewidywaniom bardzo dodatnim się okazał, jeżliby przyniósł nam przekonanie, że powodów do skarg nie mamy, a dzieci nasze głodu duchowego nie cierpią, wówczas z przyjemnością cofnęłabym całą moją krytykę i wielce uradowana wyznałabym swą pomyłkę.

I. Moszczeńska.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA KRAKOWSKA

27 listopada.

(Nowy biskup. — Pogadanki w Związku literackim. — Jubileusz Asnyka. — Miscelanea.)

Nowy Książe-Biskup krakowski ks. Jan z Kozielska-Puzyna skończył 13 listopada lat 52, jest więc jeszcze człowiekiem w pełni sił żywotnych, a gdyby liczyć wiek jego podług lat służby duchownej, musiałoby się go nazwać młodym kapłanem. Nie myślał bowiem dzisiejszy dostojnik Kościoła, kiedy uczęszczał na wydział prawny uniwersytetu lwowskiego, aby kiedykolwiek otworzył się przed nim zawód kapłański, a tem więcej, aby zasiadł na krakowskiej stolicy biskupiej. I po skończeniu uniwersytetu, kiedy wszedł do służby rządowej, tem mniej mógł jeszcze przypuszczać, aby został następcą Zbigniewów Oleśnickich, Lipskich, Maciejowskich, Woroniczów, Sołtyków.

Przez lat 12 był urzędnikiem prokuratoryi skarbu, postępując powoli w urzędzie według szablonu austryackiego. Byłby dziś może jakim komisarzem skarbowym, lub naczelnikiem podrzędnej skarbowej instytucyi. Zkąd w nim obudziła się chęć oddania się służbie Bożej, nie mogłem się dopytać. Prawdopodobnie wpłynęły na to postanowienie pewne zawody życiowe, które skłoniły i jego poprzednika ś. p. kardynała Dunajewskiego do poświęcenia się służbie ołtarza. Tylko kiedy ś. p. Kardynał dość długo czekał na infułę i wogóle na wyższe stanowisko w hierarchiji duchownej, to ks. Puzyna przeskakiwał szczeble tej hierarchiji z szybkością niezwyczajną. W innych bo też żyje czasach: na katedrach biskupich nie siedzą dziś tacy administratorzy przez rząd narzuceni, jak b. administrator krakowski ks. Gałecki, który utrzymywał przyszłego kardynała na skromnem stanowisku spowiednika przy klasztorze PP. Wizytek. Ks. Puzynę wyświęconego w r. 1878 widzimy już po kilku latach kanonikiem, a jeszcze po kilku już biskupem-sufraganem archidyecezyi lwowskiej. Przejście jego na biskupstwo krakowskie było tylko zwykłem posunięciem się o jeden stopień wyżej. Pomimo jednak zmiany stosunków i tak karjera ks. Puzyny należy do niezwykłych. Widocznie posiada on szczególne dane, które go w tak krótkim czasie wyniosły na majestat tronu biskupiego. Mówią, że nie cieszył się we Lwowie popularnością wśród podwładnego mu duchowieństwa, należał bowiem do zwierzchników surowych i wiele wymagających. Z powodu podeszłego wieku ks. Morawskiego, arcybiskupa lwowskiego, ks. Puzyna był w całem tego słowa znaczeniu rządcą archidyecezyi; jemu też przypisują znaczne podniesienie się obrządku łacińskiego w okolicach w których pomału zbliżał się ku upadkowi.

Parafie łacińskie rozrzucone na Rusi wśród ludu unickiego, coraz mniejszym świeciły blaskiem, coraz więcej kolonie łacińskie zapominały o swym obrządku i garnęły się do cerkwi unickich, co groziło niebezpieczeństwem, zważywszy na moskalofilstwo tak rozpowszechnione wśród kleru gr. katolickiego. Ks. Puzyna wytężył więc swoje siły, aby upadające kościoły podźwignąć, a gdzie tego było potrzeba nowe wybudować. Pod kilkoletniemi zatem jego rządami odżył obrządek łaciński, powiększyła się liczba jego kościołów i parafii. Ta energia, jaką okazał ks. Puzyna, była zdaje się główną podstawą jego wyniesienia na tron biskupi krakowski.

Wiadomość o nominacyi następcy kardynała Dunajewskiego nie wzruszyła pana Friedleina. Kiedy wychodziła za mąż córka ks. Windischgraetz, nasz pan prezydent nie wahał się ani chwili i złożył jej rodzicom telegraficznie w imieniu Rady powinszowanie. Był przekonany, że wypełnia swój obowiązek, że Rada wdzięczną mu będzie za ten objaw lojalności. Ale co innego nowy biskup krakowski, to figura zbyt mała, tak niewiele miasto obchodząca, że pan prezydent bał się wziąć na swoją odpowiedzialność wydatku paru reńskich na telegram. Dopiero na posiedzeniu Rady miejskiej rzecz tę poruszono i polecono jednogłośnie p. Friedleinowi, aby był tak samo grzecznym dla księcia biskupa krakowskiego, jak był grzecznym dla komendanta lwowskiego. Jestto rzecz sama w sobie drobna i więcej śmieszna niż oburzająca, ale bądź co bądź wskazuje, iż Rada powinna obmyślić sposób, w jaki uchronić należałoby na przyszłość p. prezydenta od popełniania rozmaitych niewłaściwości. Możeby należało utworzyć urząd ochmistrza prezydyalnego.

„Związek literacki“ rozpoczął coroczną jesienno-zimową seryę pogadanek. Pierwszym prelegentem był p. F. Koneczny, znany historyk, który na podstawie najnowszej powieści Zoli (Lourdes) wysnuł pogląd na tendencyą w powieści, a w szczególe na poruszanie przez nią zagadnień naukowych, społecznych i religijnych. W ożywionej dyskusyi wzięli udział prof. Lucjan Malinowski, prof. Napoleon Cybulski, dr. Maryan Zdziechowski, pp. Sarnecki, dr. Kossuth, Bartoszewicz itd. Związek jest jedynem dziś w Krakowie miejscem, w którem ludzie, poświęcający się literaturze, albo szczerze ją miłujący mogą swobodnie pogawędzić o sprawach czysto literackich, lub też z niemi stosunek mających. Szkoda, iż nie wszyscy pp. literaci czują się w obowiązku należeć do tego stowarzyszenia, a wolą zapisywać się do rozmaitych resurs i stowarzyszeń, w których karty stanowią jedyną „przyjemną i pożyteczną“ zabawę. Wskutek tego związek nie może się rozwijać tak, jakby należało, gdyż wkładki członków starczą jedynie na pierwsze potrzeby.

Młodzież izraelicka zaczyna nas zastępować... w patryotyzmie. O corocznym obchodzie, poświęconym pamięci Mickiewicza, a urządzanym przez młodzież akademicką nic dotychczas nie słychać. Tymczasem młodzież izraelicka wystąpiła już z wieczorkiem ku czci Adama.

Jubileusz Asnyka nie przyjdzie do skutku, gdyż poeta w liście do instytucyi, która miała zająć się urządzeniem jubileuszu, stanowczo odmówił nań swego zezwolenia. I dobrze uczynił. Wyraziłem już w poprzednim liście obawę, czy inicyatorowie jubileuszu będą mieli na tyle zrozumienia rzeczy, aby przygotowali poecie hołd godny jego i społeczeństwa. Obawa ta, jak przekonałem się, była bardzo uzasadnioną. O ile wiem, jednak jubileusz Asnyka nie przejdzie bez śladu. Jest projekt, aby zebrać fun-

dusz jego imienia na cele „Szkoły ludowej“ lub gimnazyum polskiego w Cieszynie.

Młodzież Szkoły sztuk pięknych postanowiła urządzić wieczór publiczny poświęcony pamięci Matejki. — Grany już przed rokiem w Poznaniu obraz historyczny p. t. „Kiliński“ ukaże się na naszej scenie w pierwszych dniach grudnia. Później zapowiadają nam występy Modrzejewskiej i wystawienie Lisistraty Arystofenesa w obrobieniu p. Stanisława Koźmiana. — Dr. Bieńkowski udał się w podróż naukową do Grecyi, korzystając z udzielonego mu przez akademią stypendyum i odsetek od funduszu ś. p. Gałęzowskiego. — Żeleński urządza swój koncert, na którym odśpiewanym zostanie ustęp z jegoopery „Goplana,“ nad którą pracował przeszło lat dwadzieścia. — P. Chmiel pomieścił w „Czasie“ ciekawe szczegóły, tyczące się rodziny Matejki, a prostujące niekrytyczne podania p. Gorzkowskiego.

K. Bartoszewicz.

NA WYŁOMIE.

(W sprawie żałoby narodowej.)

Od jednej z czytelniczek „Przeglądu Poznańskiego“ otrzymuję list następujący:

Szanowny Panie!

Lubo *Wielkopolanki* w oczach Twoich nie znalazły łaski i lubo jako „*dama*“ miałabym prawo dąsać się na Ciebie śladem siostrzyczek moich, jednak jako *Polka* cenię stale Twoje uczciwe intencye i bez gniewu z całem zaufaniem zwracam się do Ciebie z prośbą następującą:

Od dłuższego już czasu zajmują się żywo w Galicyi i Królestwie polskiem sprawą żałoby narodowej, a u nas zaledwie jeden „Dziennik Poznański“ wypowiedział w tej mierze opinję swoją. Cóż to za opinia? Czytałam dwa razy ten artykuł i ostatecznie w potopie frazeologii banalnej znalazłam wyraźną nutę niechęci dla *wszelkiej* żałoby narodowej. Tak! tego faktu nie osłonią żadne deklamacye. Bo cóż to znaczy, że należy unikać „hucznych zabaw“, jeżeli zaraz w następnym wierszu czytamy, ze postępowanie takie nakazują stosunki ekonomiczne „nie tylko w tym roku i przyszłym, ale *zawsze*“, a „skromne“ zabawy urządzać wolno, „byle nie przekraczały możności każdej i każdego“. Cóż to wreszcie znaczy, że w dowód żałoby należy wspierać instytucye publiczne i „w wytrwałej pracy szukać ukojenia boleści“?! Słowo w słowo możnaby to samo napisać w każdym kalendarzu i w każdym numerze „Dziennika“, dziś, wczoraj, przed dziesięciu laty i za lat dziesięć. Jest to moralne kazanie, które codziennie i przy każdej okazyi powtarzać można. Czyż to się zowie „żałobą narodową“? Mój rozum kobiecy mówi mi, że rok 1895 wtedy dopiero zyska znamiona *żałoby narodowej* jeżeli cośkolwiek wyróżni go od innych, jeżeli ubierzemy go w jakąbądź zewnęwnętrzną cechę smutku, jeżeli jakiś czyn wyraźny, jakaś rezygnacya niezwykła, nie taka, *którą codziennie ludziom zalecać należy*, zaświadczy o naszem żalu *szczerszym i głębszym* niż w innych latach istnienia naszego. *Je n'impose rien, je ne propose même rien, j'expose.* Ja, Szanowny Panie, starałam się nieudolnem piórem scharakteryzować *istotę* żałoby narodowej, — formę jej Ty sam racz obmyśleć. Skreśl nam propozycye swoje, a chociaż nie usłuchają Cię wszyscy, to dla wielu jednak słowa feljetonisty-patryoty będą drogoskazem. Przyjm wyrazy itd.

Wielkopolanka.

Pozwólcie, przyjaciele, że na wezwanie powyższe odpowiem listem otwartym.

Szanowna Pani!

Wdzięczny Ci jestem przedewszystkiem za to, że nie „*dama*“ lecz „*Polka*“ przemówiła do mnie, — wdzięczny i za to, że u Ciebie pierwsza nie zaćmiła drugiej, gdy zamiast gładkich Antoniuszów twardy, bezwzględny i surowy Sulla do was się odezwał.

Wierzaj mi Pani, że w apatycznej atmosferze poznańskiej głos Twój zagrał mi dziwnie sympatyczną nutą. W ostatnich latach życia naszego lodowe prądy berlińskie przeniknęły aż do szpiku kości narodowy organizm i oto! gdzie okiem rzucisz, ujrzysz tłum różnobarwny, dotknięty dziwną chorobą: *Febra dyplomacyi.* W każdym objawie ducha narodowego, w każdym jęku boleści upatrują syny i ojcowie, przerażeni nawet liści szelestem, zgubną demonstracyę, i jak niegdyś „Teka Stańczyka“ tak i oni dzisiaj w strachu chorobliwym powtarzają utarte komunały o samogwałcie politycznym, mdłej pożądliwości ruchów i tanich ofiarach. Stare i młode pokolenie ma zawsze w pogotowiu stereotypowe: Nie budźcie ducha! a odezwało się ono nawet w pamiętnej chwili, gdy w Wierzenickiem ustroniu śp. Augusta Cieszkowskiego rzucono pytanie: Czy poznański zjazd ekonomistów i prawników polskich nie stanie się kamieniem obrazy dla rządu pruskiego? Niech Cię to, siostro moja, nie dziwi, bo tak długo szeptano nam w uszy, że zbawienie narodu jest *tylko* w Berlinie, — że ostatecznie szept ten duszę narodu otumanił i w patologicznej jednostronności pogrążył. Nam się dzisiaj wydaje, że dyplomacya milczenia i zamknięcia w głębinach piersi skargi, co na usta się ciśnie, żałoby, co serce rozdziera, i pamięci krzywdy przedwiekowej jest wielkiem znamieniem dojrzałości politycznej, a że w tem zamknięciu zapleśnieć może uczucie narodu, o tem dostojni gasiciele ducha pamiętać nie raczą. Dyplomacya? Któż ją potępi? Ale jest pewien gatunek tego pojęcia, od którego mróz wieje i krew w żyłach ścina, a gdzieś w oddali żałosną skargą dzwonią słowa poety: *Biada narodom, które pocieszają się tylko tem: „jeżeli ty masz knut, to ja mam grzbiet!“*

Zdaje mi się, Szanowna Pani, że w tych pojęciach na byt narodowy i prawidła jego rozwoju sporu między nami nie będzie, — zdaje mi się również, że z takiego źródła obaw i wątpliwości bolesnych płyną żądania, które w liście Twoim wyraz szlachetny znalazły, — nie wiem jednak, czy pojęcia moje o formie żałoby narodowej znajdą uznanie tej gorącej duszy, która dźwiękiem prawdziwie narodowej nuty przemówiła do mnie.

Że rok żałoby powinien mieć jakąś wyraźną i niezwykłą cechę odrębności, że jubileusz wiekowego sieroctwa powinien jakimś czynem wybitniejszym i charakterystyczną rezygnacyą zapisać się w kronikach bytu naszego, o tem nie wątpię ani jednej chwili! Jeżeli jednak żałoba w szerokich warstwach narodu znaleźć ma oparcie, zamiast ograniczać się na jednostkach lub grupach oderwanych, to należy obmyśleć formę pozbawioną *wygórowanych* pretensyi do ludzkich poświęceń i nie drażniącą nadto dotkliwie ludzkich nawyknień i słabostek. Nie ma nic łatwiejszego jak postawić program żałoby o postulatach dalekich, ale program taki nie znajdzie nigdy oddźwięku w masach szerokich. Ty, Szanowna Pani, przyjmiesz go może z zachwytem i entuzyazmu swojego udzielisz małej drużynie goretszych duchów, lecz tłumy przejdą nad nim do porządku dziennego z protestem na ustach lub grymasem niechęci. Lepiej żądać od ludzi mało i zwyciężyć, — niż żądać wiele i zamkniętemi znaleźć serca ludzkie. To też dziwić mi się nie będziesz, Szanowna Pani, że myśli podniesionej w pewnych kołach galicyjskich, aby cały naród wdział szaty żałobne przyklasnąć nie mogę, — dziwić się też nie będziesz, że projekt garstki entuzyastów, aby w teatrach polskich na jednoroczną banicyę skazać muzę tańca i komedyi, zaniechać wszelkich, nawet prywatnych zabaw i rozrywek, zamknąć fortepiany i t. d. uważam za niewykonalny. Są przecież inne sposoby ubrania żałobnego roku w znamiona odrębności. Mniej one jaskrawe, ale więcej w nich szans powodzenia. Sądzę n. p., że skreślenie *publicznych balów i wieczorków* z programu życia polskiego wyciśnie na smutnej rocznicy dość wyraźne piętno żałobnego indywidualizmu, a rezygnacya taka jest tylko skromnem poświęceniem, które społeczeństwa nie przerazi i nie zniechęci ogromem swoim. Na ślizgich posadzkach balowej sali zapanuje cisza grobowa, strzały k[illegible], szampańskich nie zamącą rocznicy sieroctwa narodowego, blask pereł i brylantów zagaśnie przed blaskiem łzy polskiej, — takiej ofiary my żądać mamy prawo i taką ofiarę naród chętnie złoży na ołtarzu ojczyzny.

I pragnąłbym nadto, aby wszystkie pisma polskie powitały rok żałobny czarną obwódką, i czarną obwódką, jeżeli nie codziennie, to przynajmniej w dniu pierwszym każdego miesiąca przemówiły do nas. To drobiazg niewinny, nie połączony z żadną rezygnacyą, z żadnym nakładem pracy i pieniędzy, a potężny w skutkach, bo przenikający systematycznie myśl ludzką żałobnem wspomnieniem.

A jednak, Szanowna Pani, te zewnętrzne cechy smutku narodowego wydają mi się o tyle połowiczne, o ile niezbędne. Gdyby naród na nic innego, prócz krepowego welonu w tej lub owej formie, zdobyć się nie umiał, to żałoba taka byłaby dowodem *bezsilnego* sieroctwa, któremu łza jedna i skarga pozostały w męce. Nam w roku żałoby pomnik żywotności narodowej postawić wypada, aby zaświadczyć przed całym światem, że ojczyzna nasza jest wprawdzie niewolnicą, ale nie jest trupem. Myśl tę już uchwycili galicyjscy patryoci i jedni pragną znak widomy życia narodowego zbudować w charakterze polskiej szkoły ludowej na *Bialskim* gruncie, inni marzą o wielkiej fundacyi dla polskiego gimnazyum w Cieszynie, inni wreszcie projektują wielki skarb narodowy dla popierania polskiego żywiołu na kresach zagrożonych. Nie czuję się kompetentnym, by dla pruskiego zaboru wskazać cel wyraźny, — toż dróg jest tyle i celów tak wiele. Sądzę natomiast, że o charakterze akcyi jubileuszowej rozstrzygnąć powinien na wzór galicyjskich braci komitet złożony z reprezentantów wszystkich towarzystw poznańskich, zachodnio-pruskich, warmijskich i szlązkich. Komitet ten uposażony prawem kooptacyi będzie niejako wyrazem narodowej woli i działając bądź to samodzielnie, bądź też w porozumieniu z komitetami innych zaborów, rozstrzygnie o charakterze dzieła pomnikowego i drogach wiodących do celu. Czas nagli! Protest „Dziennika Pozn.“ przeciw wszelkiej żałobie narodowej jest tylko nowym dowodem jego bankructwa politycznego. Jeżeli nam w ostatniej chwili poda dłoń do zgody i wspólnego działania, my ją powitamy radośnie, ale chociaż trwać będzie w negacyi uporczywej, nam rąk pod żadnym warunkiem zakładać nie wolno. Przeciwnie! Czynem stwierdzimy, że wpływy „Dziennika“ należą do zamierzchłej przeszłości, a naród bez długoletniego przewodnika zdobyć się umie samoistnie na czyn zdrowego patryotyzmu.

Myśl tę, Szanowna Pani, Ty tchnieniem wielkiej miłości w płomień potężny rozdmuchaj. Nieś ją od strzechy do strzechy, sącz w dusze polskie, zamień w żar słoneczny, co roztapia lody. Urzeczywistnienie żałoby narodowej w znacznej mierze od Was, kobiety, zależy. Czuwajcie nad sercem narodu i bądźcie mi sprzymierzeńcami.

Z głębokim szacunkiem

Sulla.

Z estrady i sceny.

Występy Bolesława Leszczyńskiego.

W ostatnich latach przesunęły się na deskach sceny poznańskiej dwie wybitne artystki warszawskich teatrów: Lüde i Marcello. Obie olśniły krytykę i publiczność blaskiem dramatycznego talentu, subtelnym rysunkiem i kolorytem każdej kreacyi, materyałem scenicznym pierwszorzędnej wartości i tą rutyną, która mówi ruchem i słowem: Ojczyzną moją jest scena! A jednak mnie przynajmniej w grze tych gwiazd teatralnych raził niekiedy żywioł patetyczny, jakieś wyraźne echo klasycznych formułek, pielęgnowanych dziś jeszcze starannie w „Komedyi francuzkiej“. Panna Marcello mianowicie lubi często w salonowych rolach popisywać się sztuką deklamacyjną, a o wzorach starego autoramentu zapomina wtedy dopiero, gdy ją namiętność uniesie, gdy krew w jej żyłach zakipi — i wtedy istotnie porywa wszystkich, najobojętniejszych nawet.

Przyznaję otwarcie, że gdy wieść o występach p. Leszczyńskiego zawitała do Poznania, lękałem się nieco, czy ten wielki artysta nie przyniesie z sobą również tradycyi szkoły warszawskiej, której my młodsze pokolenie, wychowane na włoskich i niemieckich wzorach, już nie rozumiemy. Sądziłem, że ujrzę na poznańskiej scenie jednego z tych wielkich artystów, dla których Lessingowskie „*Kunst und Natur sei eines nur*“ jest potworną herezyą, dla których piękno jest czemś zupełnie oderwanem od rzeczywistości, a co najwyżej prawdą umytą, wykąpaną, wonnemi olejkami pomazaną i sztucznem światłem opromienioną. To też z pewnym sceptycyzmem czekałem w wieczór Szekspirowskiego *Otella* odsłonięcia kurtyny, a zdziwienie moje rosło z minuty na minutę, gdy tam na deskach zjawił się nie klasyk, lecz realista najczystszej wody, brat rodzony włoskich *Muggich* i niemieckich *Reicherów*. Przekonanie to w wyższym jeszcze stopniu utwierdziły następne kreacye pana Leszczyńskiego, świadczące już nie o zmyśle obserwacyjnym artysty, lecz o namiętnem ukochaniu prawdy. Natura w każdym dźwięku, prostota w każdym ruchu, dusza w każdem spojrzeniu, życie indywidualne w każdej postaci.

Nie przeczę, że w grze Leszczyńskiego były momenty słabsze, nie przeczę, że widziałem sceny, rzucone jakby od niechcenia na deski, lub z piętnem wyraźnej irytacyi i zniecierpliwienia na czole, ale przekonany jestem, że przyczyn anemii szukać należy w otoczeniu cudzem i tych nieszczęsnych zakulisowych tajnikach sceny naszej, które artystę przyzwyczajonego do innej systematyczności, innych sił, innej reżyseryi, innego porządku, pozbawić mogą wszelkiej równowagi. Zresztą zdaje mi się, że pan Leszczyński jest jednym z owych „artystów chwili“, których najmniejsza niedyspozycya pogrąża w apatycznem zniechęceniu, którzy dziś mistrzostwem gry swojej porwą publiczność, zachwycą, rozpalą, — a jutro w tej samej roli staną przed nami bez nerwu, jak mgłą przysłonięci. Mówiono mi, że *Sara Bernhardt* miewa takie chwile, a pamiętam jeden wieczór w Berlinie, gdzie *Kainz* nie był Romeem lecz cieniem Romea.

Któż jednak artystę sądzić będzie według przelotnych słabości? Dla mnie Leszczyński pozostanie zawsze pierwszorzędnym mistrzem scenicznego realizmu — nie wirtuozem jedynie, lecz wielkim, niezwykłym talentem dramatycznym. I nie jest to uczeń sumienny, naśladujący dokładnie słynne pierwowzory, lecz aktor, piastujący w duszy bogactwo oryginalnego tworzenia i prawdziwą potęgę artystycznego indywidualizmu. Stargawszy pęta wszelkiego konwenansu scenicznego, uderza nas warszawski artysta czasem jakimś ruchem niezwykłem, lub obrotem, urągającym wszelkim prawidłom tradycyjnej estetyki scenicznej. W „Synu puszczy“ kładzie się pod skałą plecami do publiczności i pozostaje w tej pozycyi niemy, bez ruchu przez długą minutę. Innym razem zerwie się nagle, porywa linie w ensemble'u, poroztrąca grupy, uderza się o meble i odwraca oblicze nie na sekundę jednę, lecz w całych ustępach dyalogów. „*Face du parterre!*“ — chciałoby się razem z reżyserem „Komedyi francuzkiej“ zawołać, a przecież nagle te pozorne błędy wielkiego artysty, ten chaos momentalny, odzywają się do nas taką siłą prawdy, że scena staje się życiem. Cóż Leszczyńskiego publiczność obchodzi? Dla niego całe istnienie zamyka się w granicach kulis i świata całego nie zna, tylko ten, w którym autor żyć mu rozkazał. Ztąd jego dyskusye i monologi wywierają niezwykłe wrażenie naturalności, a wrażenia tego mierny artysta nie osiągnie nigdy. U drugorzędnych aktorów czuję bezustannie, że mówią do mnie, do widza, że ich oczy zwrócone są wprawdzie (a i to nie zawsze) na towarzysza gry, ale myśl krąży w krzesłach i na lożach. — Leszczyński natomiast mówi jedynie do współgrającego i ztąd budzi przekonanie, że ten świat jest jego światem, że on do nich, nie do nas należy. Wyjątek stanowił Petruccio w „Poskromieniu złośnicy“, lecz winien temu Szekspir a nie artysta. Tu dyalog dyskretny z publicznością jest postulatem autora, a świadczą o tem najwyraźniej końcowe apostrofy komedyi jego.

Podobnie i monologi Leszczyńskiego nie są bynajmniej deklamacyą skierowaną ku oświeceniu publiczności o ewolucyach psychicznych artysty, o jego bólach, zwątpieniach lub tryumfach. Jest to raczej jakiś cichy rachunek sumienia, jakaś spowiedź duszy przed konfesyonałem własnej refleksyi. I dziwnym jest dźwięk głosu w monologach Leszczczyńskiego. Niby szept bezwiedny, mówiący widzom zasłuchanym, że słowa takie są jak błyskawice przelotne, w mózgu powstające, niewidzialne dla innych i ani w początku, ani w rozwoju swoim od ludzkiej niezależne woli. A przytem oczy jego patrzą w dal senne, zamyślone; oczy te piękne nie są, ale posiadają dziwną właściwość tłomaczenia najskrytszych duszy tajników. Czasem takie zmęczone, bez blasku i chore, czasem znów lubieżne, dzikie i namiętne, czasem niespokojne i nerwowe, a chwilami tak się w duszę wpijają, że zdaje ci się — serce ci przewiercą.

O innych właściwościach Leszczyńskiego pomówię w przyszłym numerze — po Królu Learze, Honorze, a może i Śmierci cywilnej. Dziś na jedno jeszcze zwrócę uwagę. Artysta warszawski lubi niekiedy początkowe sceny traktować szkicowo, markując lekko i pobieżnie. Odsłania nam tylko kontury kreacyi swoich, a potem nagle, niespodziewanie je pogłębia. Przypomina on mówcę, który zrazu rzuca dźwięki stłumione i dyskretne, a wtedy dopiero całą potęgę głosu rozwija, gdy już przygotował, już zainteresował słuchaczy. Podobnie postępują *Duse* i *Salvini*, którzy w pierwszych aktach utworów dramatycznych zaledwie wychylają się z otoczenia swego, aby nagle tem potężniej nad innych wyrosnąć.

* * *

Występy pana Leszczyńskiego i wprowadzone przez niego na scenę poznańską utwory nastręczyły artystom naszym sposobność odsłonięcia przed krytyką interesujących znamion i zasobów talentu. Z wszystkich kreacyi panny *Wróblewskiej* (Amelja, Irena, Partenja, Desdemona) pierwszeństwo przyznaję bezwarunkowo „*Irenie*“; gdzieniegdzie wprawdzie raziła tam sztuczność i wysiłek, ale artystka zrozumiała typ odtworzony i ukazała publiczności histeryczną mimozę, w której nerwy grały jak orkan dziki, lub smutek jak liście jesienne szeleściał. Halucynacye aktu czwartego nie budziły wrażenia prawdy, ale za to namiętne „Szalejmy, aby zapomnieć“! było szczere i drażniące jak zgrzyt żelaza po szklanej płycie.

Mniej powiodła się naszej zdolnej aktorce rola Partenji, w której nowoczesnej kokieteryi było nie mało, lecz greckiego tchnienia szukałem napróżno. Zresztą dyrekcya nie zrozumiała widocznie autora, powierzając tę rolę pannie Wróblewskiej, podobnie jak prawdziwym wykrzyknikiem w dziejach sceny poznańskiej jest oddanie panu *Łaskiemu* roli *Zbigniewa*. Ktoś widząc koturnową figurę heroiny naszej obok potężnej postaci pana Leszczyńskiego, szepnął z uśmiechem, że nie jest to dziki Tektosaga, rozbrojony maleńką dłonią greckiego dziewczęcia, lecz chyba „Dwóch synów puszczy“ — takim powinien być tytuł dramatu na poznańskiej scenie.

A Zbigniew? „Komiczny amant“ pan *Łaski* w roli tragicznego Zbigniewa działał istotnie tak, że przypominał bezustannie wiedeński „*Parodietheater*“. Pan *Sosnowski* w roli kochanka „Ireny“ był subtelnym tłomaczem walki obowiązku z miłością. Mimika jego i dykcya nerwowa były dowodem wielkiego, prawdziwego talentu, a sekundowała mu dosyć udatnie pani Majdrowiczowa, która natomiast w Szekspirowskiem „Poskromieniu złośnicy“ grała od początku do końca sztuki jak „baranek“. W utworze tym wystąpiła również po raz pierwszy w roli konwersacyjnej panna *Galińska*. Dziś jeszcze powiedzieć nie umiem, czy w tej młodej adeptce sztuki dramatycznej są jakiekolwiek zasoby talentu, ale uderzył mnie głos dosyć czysty i poprawna dykcya. Z uznaniem również podnieść muszę grę p. *Knapczyńskiego* w roli Mazepy. Widziałem kilka razy sympatycznego artystę w tem trudnem zadaniu, ale dopiero niedzielny wieczór zdołał mnie przekonać, że umie on zdobyć się na silne, dramatyczne akcenty. Dawny Mazepa p. *Knapczyńskiego* był stanowczo kreacyą bez kości, obecny ma charakter męzki, a w scenach przy trumnie dźwięki prawdziwej energii.

Na koniec zostawiłem sobie krótką wzmiankę o grze pana *Rapackiego* (syna) w „Poskromnieniu złośnicy“. Jest to nieomal jedyny z artystów naszych, który zrozumiał ducha poety i umiał typ odtworzony ubrać w barwy Szekspirowskiego indywidualizmu. Postać jego owiana była niezrównanym wdziękiem, oczy błyszczały Szekspirowskim humorem, a słowa odznaczały się melodyą subtelnej ironii, tryskającej z utworów angielskiego mistrza. Charakterystyczna gra p. *Rapackiego* i porywający, jędrny i zdrowy komizm pana *Trapszy* były istotną ozdobą piątkowego przedstawienia.

W. R.

KRONIKA LITERACKA.

St. Tarnowski. Z wakacyj, wydanie drugie, Kraków, nakładem Spółki wydawniczej 1895, str. 476 i 319.

Wydanie drugie, a więc recenzya byłaby spóźniona. Należy jednak zanotować ukazanie się tego powtórnego wydania kartek z podróży, po ziemiach dawnej Rzeczpospolitej. Literatura nasza w tym kierunku jest dość ubogą. Mamy wprawdzie sporo monografij miast i prowincyi, poznajomiających nas z przeszłością, ważnych dla dziejów, ale nie dających nam wyobrażenia o dzisiejszym ich stanie, o wrażeniu, jakie czynią na zwiedzających. Pierwszy Niemcewicz zrozumiał ważność zapisywania takich wrażeń chwilowych i osobistych, które z czasem stają się historyą. Prof. Tarnowski, jak widzimy z przedmowy, mało przywięzywał wagi do swoich zapisków i nie miał nawet zamiaru wydać ich osobno. Namawiał go do tego Kalinka i dobrze zrobił. Dwa tomy wspomnień wakacyjnych nietylko, że nie zajmują pośledniego miejsca pomiędzy dorobkiem literackim ich autora, ale owszem pod wielu względami należy im się w tym dorobku miejsce prezesa. Treść jest sympatyczna, opowiadanie barwne, zalety stylu miały większą sposobność wystąpić w nich na jaw niż w studyach literackich lub w politycznych broszurach. To też, kiedy pierwsze z nich z natury rzeczy będą miały zawsze ograniczone koło czytających, a drugie weźmie z czasem zaledwie do ręki historyk walk stronniczych i to weźmie najczęściej z niesmakiem, to „książeczka“, z której wydania tłomaczy się autor, powinna przez długie lata mieć zawsze szerokie grono czytelników, bo mówi przeważnie o stronach, rzeczach i sprawach każdego obchodzących i każdemu drogich, i to w sposób zajmujący, feljetonowy, z miłością dla przedmiotu. Na tom pierwszy składają się wspomnienia z pobytu w Wilnie

i Kijowie — jest w nim także opis wycieczki do Moskwy. Tom drugi poświęcony jest Prusom królewskim. K. Bart.

* * *

Maryan Gawalewicz. „Dusze w odlocie“. Z pamiętników młodego lekarza. Nowella. Z ilustracyami E. Lindemana. — Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. 1895.

Jest to pełna poetycznego wdzięku i uroku nowella utalentowanego pisarza, wydana po raz pierwszy w formacie u nas dotąd nie praktykowanym i z wytwornością, przynoszącą zaszczyt tak nakładcom jak typografii krakowskiej Wł. L. Anczyca i Sp., która wydrukowała to cacko prześliczne. Nie wątpimy, że ten — pod każdym względem — wykwintny i miły drobiazg znajdzie licznych nabywców i czytelników. Ze wszech miar na to zasługuje.

* * *

Henryk Piątkowski. „Polskie malarstwo współczesne“. Szkice i notaty. Petersburg. Nakład K. Grendyszyńskiego. 1895.

Jest to szereg luźnych artykułów o malarstwie polskiem i polskich malarzach, pisanych przez utalentowanego polskiego malarza. Dużo tu prawdy i uwag bardzo słusznych, ale są także poglądy, na które może nie zupełnie byśmy się zgodzili, co jednak nie przeszkadza, że książka jest interesującą, że czyta się ją z przyjemnością, bo kreślona wytrawną ręką, władającą zręcznem i barwnem piórem. Drugi to już artysta polski, zdobywający sobie w literaturze złote ostrogi.

* * *

Abgar-Sołtan. „Nie ma metryki!“ Obrazek z życia ludu podolskiego. — Lwów. Jakubowski i Zadurowicz. 1894.

Jest to opowiadanie wzruszające, pełne prawdy, budzące żywy interes, kreślone z werwą przez utalentowanego i sympatycznego pisarza, który wszelako wiele by zyskał w mniemaniu prawdziwych znawców, gdyby nie zapomniał, że powieściopisarz powinien być nietylko bajarzem — umiejącym obudzić zajęcie, ale — i artystą. W „Nie ma metryki“ znajdujemy głęboką znajomość stosunków podolskich, zakordonowych.

KRONIKA POWSZECHNA.

W przyszłym numerze rozpoczniemy druk monologów *Wincentego Rapackiego* (*syna*) (artysty poznańskiego) p. t. „Zakochana“. Utwory te nadają się do popisów estradowych i salonowych.

Wiadomości społeczne i polityczne. Teodor Jeż-Miłkowski powinszował w liście otwartym posłowi Lewakowskiemu znanej manifestacyi antirosyjskiej w parlamencie wiedeńskim. — Związek fabrykantów cukru postanowił zamknąć rafinerye w Nowym Jorku, Bostonie i Filadelfii, przez co 5000 robotników straci utrzymanie. — „Orędownik“ zagroził secesyą na wypadek, że w okręgu mogilnicko-żnińsko-wągrowieckim wyborcy zaofiarują kandydaturę zdecydowanemu stronnikowi partyi dworskiej. — Port Artura został przez Japończyków zdobyty. Chińczycy, którzy stracili 3000 ludzi, starają się o pokój. — Następcą Hurki ma zostać W. Ks. Konstanty Konstantynowicz, poeta i literat, wielbiciel zachodniej kultury. — „Voss. Ztg.“ dowiaduje się, że projekt dotyczacy podatku tytoniowego, zostanie w tych dniach przedłożony niemieckiej radzie związkowej.

Zasłużony nasz literat i archeolog radzca dr. Koehler odczytał na posiedzeniach Tow. Przyj. Nauk dwie rozprawy p. t. „Druki Kościańskie Wiganda Funka z XVII wieku z uwzględnieniem działania tego drukarza w Lesznie“ oraz „Przyczynek do kwestyi stóp na kamieniach wyrytych.“

Wystawy. W Warszawie odbędzie się staraniem Towarzystwa wyścigowego wystawa inwentarza i narzędzi rolniczych — W Lipsku odbyła się wystawa roślin i kwiatów.

Teatr i muzyka. Pan Józefowicz, znany komik sceniczny, bawi w mieściu naszem i stara się podobno o przyjęcie do składu trupy poznańskiej. Eleonora Duse zebrała trupę dramatyczną i zamierza w przyszłym roku zwiedzać Europę wschodnią. — Panna Klara Janiszewska została nauczycielką w konserwatoryum muzycznem w Berlinie. — Wystawiona po raz pierwszy w Peszcie opera Hubaya p. t. Skrzypek z Kremony zyskała wielkie powodzenie. — Znana komedya St. Graybnera „Maruder“ przepadła na scenie krakowskiej. Słynna i budząca tyle w swoim czasie polemik wśród krytyki francuzkiej, sztuka H. Becque'a p. t. Kruki (Les corbeaux) przetłomaczoną została przez Z. Sarneckiego i ukaże się na scenie krakowskiej. — Nowy dramat Ibsena: Jak wiadomo, Ibsen narobił dużo krzyku z powodu przedwczesnego opublikowania tytułu i treści jego nowej sztuki i nietylko zamieszczał w pismach oświadczenie, że treść sztuki podaną została mylnie i może się przyczynić do wyrobienia sobie o niej fałszywej opinji, ale wytoczył proces redakcyi pisma „Politiken“, gdzie treść tąż po raz pierwszy została ogłoszoną. Czyni to Ibsen z tego powodu, gdyż kontraktem z wydawcami duńskimi i angielskimi obowiązany jest do utrzymywania w tajemnicy treści sztuk swoich. Otóż okazało się, że redakcya „Politiken“ w następujący sposób przyszła w posiadanie treści nowej sztuki Ibsena. Pisarz norwegski Kragh, który obecnie w tej samej drukarni, co Ibsen, drukuje swój nowy dramat, zobaczył w tejże drukarni rękopis sztuki Ibsena, wziął go potajemnie do domu, przeczytał, a następnie odniósł napowrót do drukarni. Od niego też redakcya „Politiken“ otrzymała treść sztuki. — Rada miasta Lwowa postanowiła ostatecznie wybudować gmach teatru na placu Gołuchowskiego. — Mascagni pisze nową operę pt. Silvano. — „Kuryer War.“ dowiaduje się, iż dyrekcya teatrów warszawskich podpisała kontrakt z panią Modrzejewską o szereg jej występów na scenie tamtejszej. Występy, których będzie dziesięć, rozpocząć się mają 31 grudnia b. r. Repertuar, z jakim artystka wystąpi, składają następne sztuki: „Jak się wam podoba?“, „Macbet“, „Wiele hałasu o nic“, „Dalila“, „Adryana Lecouveur“, „Marja Stuart“, „Księżna Jerzowa“, „Gniazdo rodzinne“, „Mazepa“, „Walka kobiet“ i „Dama kameljowa“.

August Strindberg, głośny pisarz szwedzki, który obecnie przebywa w Paryżu, zamieścił w ostatnim zeszycie „Revue des Revues“ ciekawy artykuł pod tytułem „Przypadek w produkcyi artystycznej“. Strindberg twierdzi, że brak namysłu jest pierwszą zaletą artysty, że muzyk znalazłby genialne melodye, gdyby na los przypadku puszczał palce po klawiszach fortepianu albo po strunach gitary, że żaden obraz nie byłby tak bogaty w tony, jak paleta zamazana od niechcenia. „Formułą — pisze — sztuki przyszłości będzie naśladownictwo natury, a zwłaszcza sposobu, w jaki natura tworzy.“ Podobnych paradoksów pełno, jak zresztą we wszystkiem niemal, co Strindberg pisze w powyższym artykule.

Dziwactwa autorów. Dziwactwa rozmaitych autorów przy pisaniu stanowią niewyczerpane źródło anegdot. Świeżo p. Eugeniusz Mouton ogłosił w „Revue bleu“ mnóstwo ciekawych szczegółów o manjach pisarzy.

Pewien autor, znany mi zbliska — czytamy tam — za nic na świecie nie pisałby innem piórem jak gęsiem, ponieważ doszedł do przekonania, iż pióra stalowe czynią styl chropowatym i zaciemniają kontury obrazów. Potrzeba mu koniecznie atramentu taniego, gdyż tylko taki jest naprawdę czarny; może pisać tylko na papierze glansowanym, żeby pióro nie znajdowało oporu.

Jeden z romansopisarzy, zajmujący zarazem wysokie stanowisko urzędowe, może pisywać tylko na wązkich paskach papieru zielonkowatego. Każdą kartkę przepisuje dopóty, dopóki nie ma na niej ani jednego przekreślenia.

Merimée przepisywał siedmnaście razy swój rękopis „Colomby“, chociaż prawie nic w nim nie zmieniał. Jan-Jakób Rousseau pod tym względem stoi blisko Merimeego. Z jego spowiedzi można przekonać się, ile razy odczytywał i przepisywał „Nową Heloizę“.

Aleksander Dumas, ojciec, który, można powiedzieć, stworzył sto arcydzieł, zasiadłszy przy stole pisał 17 i 18 godzin bez przerwy i nie odczytywał ani wiersza z tego, co napisał. Przez ten czas werwa i imaginacya nie zawodziły go ani na chwilę. Wtem autor nagle podnosi głowę i zamyśla się. Do licha! osoba, której historyę opowiada, zmarła już trzy rozdziały temu, lub nie może wrócić z Afryki lub Indyi wcześniej niż w następnym rozdziale. Dumas w takich razach wpadał we wściekłość i irytował się dotąd, dopóki nie naważał nici opowiadania.

Inny rodzaj twórczości posiada Dumas, syn. Obmyśla on długo i głęboko i buduje słowo po słowie w swej głowie utwór dramatyczny, każdą myśl formułuje i odkłada do osobnej grupy i dopiero zabiera się do pisania.

Nie wszyscy jednak autorowie posiadają zasoby niewyczerpanej werwy i fantazyi, jak Dumas, ojciec, lub cierpliwości Dumasa syna. Ponson du Terrail np. wprowadzał do swych niezwyczajnych powieści tak wielką liczbę osób, iż zapominał o nich w ciągu pisania. Aby nie utracić wątku opowiadania, ustawiał na stole pobierane lalki, które reprezentowały osoby z powieści. Gdy który z bohaterów umierał, Ponson du Terrail niezwłocznie chwytał ze stołu lalkę i wrzucał do szafy.

Inni, i ci są najstraszniejsi dla wydawców, nie są w stanie zwracać uwagi na to, co piszą. Ich wykończenie rękopisu nie mają najmniejszego wyobrażenia o tem, co nabazgrali, i dopiero po przeczytaniu korekt, zdają sobie sprawę ze wszystkiego, co popełnili. Zaczyna się wówczas taka serja poprawek, dodatków, przestawień, iż łatwiej byłoby rękopis złożyć powtórnie. Po dwóch lub trzech takich poprawkach, przysięgają, iż wszystko już jest w porządku, lecz po otrzymaniu odbitek w złamanych kolumnach, ta sama manipulacya zaczyna się na nowo. Z tego powodu Balzac, zamiast dojść do majątku, wpadł w nędzę, gdyż korekty pochłaniały znaczną część zysku, zanim wyszło dzieło. Im więcej pisał, tem stawał się biedniejszy.

Autorowie, których myśli muszą być podniecane ruchem fizycznym, mają odrębny sposób pisania. Rozmawiają, gestykulują i spacerują w trakcie pisania. Nie są to już autorowie pochyleni nad stolikiem, lecz aktorowie mówiący swe role. Sekretarz spełniający rolę fonografa, utrwala ich słowa. W ten sposób pracuj Arsène Houssaye. Tego rodzaju manipulacya pozwala produkować dużo i łatwo, ma jednak tę stronę niedogodną, iż wymaga w manuskrypcie wielu skróceń i poprawek.

Dawne emancypatki. Interesującemi dla kobiet, które na polu nauki współzawodniczą z płcią męzką, będą następujące wiadomości historyczne, czerpane ze znakomitego dzieła I. Hyrtla: „Anatomja opisowa“ § 14 i 15 „Hist. med.“). W technice sporządzania anatomicznych preparatów odznaczyły się dwie kobiety: Aleksandra Giliani dal Persiceto i Anna Manzolina · Pierwsza profesorowi anatomji w Bolonji, Luigi Mondino (z łac. Mundinus zwany), który zmarł 1326 r., sporządzała preperaty, zwłaszcza z naczyń krwionośnych, po mistrzowsku i ona pierwsza wpadła na pomysł nastrzykania naczyń. Anatomją zajmowała się z iście kobiecą namiętnością“. Zaś Anna Manzolina, żyjąca w drugiej połowie XVIII wieku, sporządzała prześliczne okazy anatomiczne z wosku, któremi się posługiwał na wykładach, nieśmiertelny Luigi Galwani i przy sposobności nie szczędził pochwał dla wykonawczyni. Mąż jej, Gioviani Manzolina, malarz i preparator anatom., dla ulgi w nawale pracy posługiwał się jej pomocą. Niebawem przewyższyła go w dokładności i wykończeniu. Współczesną z Manzoliną jest Novella d'Andrea, profesor kanonicznego prawa w Bolonji. Uposażona w „promieniejącą“ piękność, wykładała za pewnego rodzaju zasłoną, nie chcąc odwracać uwagi słuchaczy od przedmiotu wykładu. W końcu niejaka Antonja, żyjąca w pierwszej połowie XVIII wieku, niezwykłą czcią dla anatomji przejęta, każe w testamencie sporządzić z siebie kościec! Przechowano go wraz ze stosownym napisem w szpitalu S. Maria della Consolazione w Rzymie.

Zmarli:

Antoni Rubinstein. Znakomity muzyk i kompozytor, ur. we wsi Wychwatyńce w gub. Wołyńskiej, pod Jassami um. 18 listopada 1829 r.

Al. Cynke. Korespondent „Kuryera Warsz.“ i „Gazety lubelskiej“, zm. w Lubartowie.

Jan Konopacki, artysta malarz, zm. w Łowiczu.

BIBLIOGRAFJA.

Mścisław Edgar Trepka. Anglia i Anglicy. Studya. Warszawa 1895.

Auda. Poezye. Lwów. 1895.

Adolf Dygasiński. Bracia Tatary. Nowella. Warszawa. 1895.

Ner. Buch. Dzidzia. Wesoły kalendarzyk dla dzieci. Wardzawa 1895.

Wiliam A. Hovey. Odgadywanie myśli. Przełożył z angielskiego Henryk Wernic. Warszawa 1895.

Odpowiedzi Redakcyi.

Zen. Racz Szanowny Pan przeczytać sobie odnośne ustępy w encyklopedyi Meyera lub Brockhansa. Odpowiedź w rubryce niniejszej zajęłaby zbyt wiele miejsca.

K. M. Dzieło Mantegazzy o które Pan zapytujesz, doczekało się już przekładu na język polski. Ukazało się ono p. t. Wiek nerwowy w Złoczowie nakładem W. Zuckerkandla.

Laura. Radzimy szczerze nadesłanych poezyi nie odczytywać Petrarce.

Składki

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli:

N. N. 10 Mr., M. W. z Londynu 5 Mr. Sz., mecenas 7,50 Mr. Razem 22,50 Mr.

Dotychczas zebraliśmy 627 Mr.

Sprostowanie.

W Nr. 35. do artykułu „Na Wyłomie“ wkradły się błędy następujące: zamiast „Pak Kościelski“ czytać należy — „Pan Kościelski“; zamiast „delpyini“ — „delphini“.

Za nakład i redcyą odpowiedzialny: Józef Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.